Nr. 38. Kraków, dnia 18 września 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Przed Sejmem.

W przyszłym tygodniu zbiera się we Lwowie Sejm nasz na doroczne obrady. Mieliśmy zimą br. już sposobność mówić o pracach naszego Sejmu — tu chcielibyśmy jeno podkreślić kilka postulatów, których uwzględnienia opinia publiczna domaga się stanowczo i bezwarunkowo.

Sejm zbiera się w warunkach trudnych. Stosunki finansowe Galicyi są nad wyraz przykre, nie mniej przykre są stosunki polityczne w kraju, spowodowane walkami partyjnemi i niesnaskami w łonie wszystkich stronnictw. A Sejm będzie musiał uchwalić budżet na r. 1911 i uwzględnić w nim potrzeby rolnictwa, konieczność podniesienia przemysłu, będzie musiał zaspokoić żądania nauczycielstwa w kierunku podwyższenia płac i żądania całego ogółu w kierunku tworzenia nowych szkół średnich i ludowych, w kierunku stworzenia szkolnictwa zawodowego. Kwestya uregulowania stosunków szkolnych w Galicyi jest rzeczą niezwykle piekącą: obliczono dzisiaj, że wskutek supremacyi Rusinów w Galicyi wschodniej około 40.000 dzieci polskich albo pobiera naukę ruską, albo jej wcale nie pobiera; cyfra to zastraszająca, a we właściwem świetle stawiająca wszelkie rozgoryczenia Rusinów i narzekania na rzekome pokrzywdzenie ze strony polskiej!

Ale obok tych wszystkich spraw, co spadają z roku na rok nie załatwione, są także i inne niezałatwione, tak jak i tamte od lat kilku odwlekane nieustannie na później. To przedewszystkiem wnioski o rozszerzenie autonomii kraju i sprawa reformy wyborczej sejmowej. Oba zagadnienia zmierzają do podniesienia zakresu działania naszych najwyższych instytucyi samorządnych, a także o zdobycie zaufania dla nich u najszerszych warstw społecznych. Z tą chwilą, kiedy do parlamentu zaprowadzono powszechne głosowanie, musimy do Sejmu uzyskać przynajmniej taką formę, jak ordynacya parlamentarna. Na przeprowadzenie takiej roformy wyborczej nie chce się zgodzić przedewszystkiem rząd, bo leży w jego interesie, aby instytucye samorządu krajowego nie opierały się na tak wielkiem zaufaniu mas ludowych, jak instytucye centralne. Zdobycie reformy wyborczej już jest pewnem zwycięstwem idei autonomicznej: po niem łatwiej bodaj będzie walczyć o rozszerzenie praw zasadniczych, jak odpowiedzialność namiestnika przed Sejmem, autonomia finansowa itd.

Podczas Sejmu obradować będzie także Sejmowe Koło Polskie, gromadzące wszystkich posłów parlamentarnych i sejmowych. Zadecydować ma ono o stanowisku naszem w kwestyi kanałowej, która obecnie wysunęła się na czoło wszelkich innych zagadnień publicznych, a która jest punktem wyjścia naszego odrodzenia gospodarczego. — Zadecydować wreszcie musi Koło Sejmowe w sprawie Rady Narodowej, usuwanej wskutek ambicyi jednostek, a koniecznej w naszem życiu narodowem jako instytucyi kierowniczej wewnętrznej.

Takie są postulaty nie nas jako pisma, ale olbrzymiej większości ogółu polskiego; my potrzeb ogólnych jesteśmy wyrazicielami. — Nieustannie zanosimy je przed Sejm, bo on jest naszą najwyższą instancyą parlamentarną, bo widzimy w nim, jedynym Sejmie polskim, ostatni szczątek naszej samoistności prawno-państwowej, a zaczątek naszej samodzielności politycznej. Chcielibyśmy, aby Sejm nasz tyle miał energii żywotnej, aby mógł zaspokoić wszystkie żądania ogółu ad maiorem Res publicae gloriam.

Nasza inteligencya.

W rozważaniach poprzednich wspomnieliśmy już o inteligencyi; wiele bowiem funkcyi społecznych, które w społeczeństwach zachodnich spełnia mieszczański stan średni, u nas przypada inteligencyi.

Nie posiada ona odrębnej fizyognomii stanowej i nie ma własnej tradycyi. Tworzyła się z początku z warstw oświeceńszych: ziemiańskiej i przemysłowo-handlowej, stopniowo dopiero zaczęło coraz więcej jednostek napływać z warstw ludowych. Nie zdołała ich jeszcze inteligencya zasymilizować kulturalnie, a odwrotnie, żywioły nowe nie zdołały włączyć sił nowych i ożywczych. Wskutek tego nastąpiło u inteligencyi obniżenie poziomu kulturalnego i energii życiowej.

Dodajmyż do tego wychowanie gimnazyalne, humanistyczne i brak jakiejkolwiek samodzielności politycznej. Wychowanie społeczeństwa jest par excellence humanistyczne: zło jego leży w tem, że w tych latach, w których w chłopcu rozbudza się energia, żądza życia i poznanie życia, zamiast przykładów praktycznych, zamiast ilustrowania nauki faktami zaczerpniętemi z życia, więc zamiast młodzież przyzwyczajać do życia — odrywa się ją od niego, zabijając porywy indywidualne a podkładając wszystko niemal pod strychulec starożytnego hellenizmu i romanizmu. Skutek tego wychowania klasycznego najczęściej jest ten, że młodzież z gimnazyów wychodzi zupełnie nieraz do życia nieprzygotowana.

Ten fatalny system wychowania był bardzo na rękę rządowi austryjackiemu; przecie wolał on mieć inteligencyę-manekiny, aniżeli pełną odwagi cywilnej i energii życiowej. Ponieważ młodzież tak wychowywana do niczego niemal nie była zdolna jak tylko do urzędów, w interesie rządu leżało występować wobec społeczeństwa w roli dobroczyńcy, a urzędników otrzymywać takich, którychby poza urzędem nic nie interesowało. Czy tak nie było? I czy nie jest niekiedy?

Nie dziwnego, że w tych warunkach inteligencya nie mogła odegrać żadnej roli społeczno-politycznej. Zasklepiała się i śniedziała w ciasnem kole obowiązków zawodowych i coraz bardziej zatracała wszelką samodzielność i zdolność do życia pełnego.

Dodajmy do tego wpływ jeszcze jeden, fatalnie odbijający się na niej: kulturę niemiecką. Inteligencya rekrutuje się przeważnie z urzędników, a wiadomo, że przed pół wiekiem w Galicyi urzędnikami byli Niemcy lub zniemczali Czesi, którzy na umysłowość naszą i życie towarzyskie oddziałali jak najfatalniej. Zaniechanie robót społecznych, obniżanie dążeń obywatelskich, zabijanie obywatela w urzędniku, to przedewszystkiem zasługa rozmaitych „Precliczków" nasyłanych przez Wiedeń na zgermanizowanie naszego kraju.

Dopiero w latach ostatnich mamy zwrot na lepsze. Pod wpływem ogólnego odrodzenia narodowego u inteligencyi zaszedł zwrot zasadniczy. Podobnie jak w innych społeczeństwach w ręce inteligencyi przeszedł faktyczny ster rządów i kierownictwo opinii publicznej. Coraz więcej dziś inteligencyi naszej skierowuje się do zawodów wolnych, okazując tem samem więcej energii życiowych i zdolności do łamania wszelkich przeciwieństw. Szkoła nasza uniezależnia się od wyłącznych wpływów humanizmu, w jego miejsce stawiając kulturę przyrodniczą i praktyczne zagadnienia życiowe. Sprawy publiczne przestały być już obecnie przywilejem jednej jeno warstwy społecznej — a owszem gros obowiązków spada obecnie na inteligencyę. W stosunkach współczesnych np. Galicyi znaczenie inteligencyi uwydatnia się niezwykle mocno na tle powszechnego dźwigania się kraju. Prace Tow. Szkoły Ludowej, prace Kółek rolniczych, Ligi Pomocy Przemysłowej, wogóle wszelakich instytucyi kulturalnych, gospodarczych i humanitarnych spoczywają przeważnie na inteligencyi.

Niestety w stosunku do zapotrzebowania i ogromu prac za mało mamy pracowników. Roboty nasze kuleją, bo wszędzie tak bywa, że cała praca spoczywa na barkach kilku zaledwie jednostek; wyradza się stąd jednostronność i nieścisłość, bo niepodobna kilku jednostkom sprostać wszystkim potrzebom we wszystkich dziedzinach. Większość inteligencyi nie wprzęgnęła się jeszcze do prac publicznych, ograniczając się do zabiegów osobistych, albo do życia towarzyskiego, opartego na kartach przeważnie i kasynie. *Trzeba mieć raz odwagę powiedzieć sobie szczerą prawdę,* że to wszystko, co inteligencya zarzuca innym (np. mieszczaństwu), że w stosunkach towarzyskich odznacza się separatyzmem, że za wiele czasu spędza zupełnie bezużytecznie, że często rujnuje siły i majątek na fraszki i głupstwa, że nie idzie równolegle z ogólnym postępem kultury — że to wszystko często niestety można odnieść do inteligencyi, żyjącej zwaszcza na prowincyi.

Smutna to prawda. Nie mniej podnieść trzeba, że te stosunki dzisiaj już zamierają. Przetwarzać sposobu życia całych pokoleń nie można w ciągu kilku lat; na to trzeba zmienić sposób myślenia pokoleń młodych, dorastających. Zmiana ta następuje: widzimy ją wszędy i ona napawa nas nadzieją, że i te usterki, jakie dzisiaj w życiu inteligencyi widzimy, ustąpią rychło.

***

Znaczenie przeszłości.

W każdem społeczeństwie, pisze w „Tygodniku Suwalskim“ Gustaw Zabłocki, jest trochę osadu kosmopolitycznego, trochę żółci patologicznej i literatury szpitalnej — jeżeli narody szczęśliwe i wolne mogą sobie na to pozwalać, to naród nasz, o ile chce istnieć, bronić się musi od kosmopolityzmu i pesymizmu.

Ze smutkiem trzeba przyznać, że są u nas pewne grupy, lubujące się w samoplwaniu — w historyi naszej szukają tylko ciemnych stron i czują wprost historyczną nienawiść do szlachty i katolicyzmu.

Szlachta u nas, jak i w całej Europie zachodniej, budowała Polskę i za całą przeszłość naszą jest bezwątpienia odpowiedzialną, ale nie można twierdzić, że wszystko w przeszłości było złem. Nietylko ucisk ludu, nietylko upadek obyczajów w wieku XVIII, nietylko anarchię, lekkomyślność i t. d. dała nam szlachta polska w spuściźnie — jej dziełem również jest zwycięstwo grunwaldzkie, unia Polski z Litwą, budowa Polski Jagiellońskiej, złoty wiek literatury, Wiedeń, konstytucya 3 maja, legiony, literatura romantyczna i t. d. Słowem, wszystko, co dziś pod mianem kultury polskiej rozumiemy, co jest dorobkiem, stawiającym nas na równym poziomie z narodami innymi, co stanowi jedyną racyę istnienia — jest w równej mierze dziełem szlachty.

Ta nienawiść stanowa wydaje się dziwną obecnie, gdy Polska współczesna przestała być szlachecką i odradza się z pnia ludowego. Trudno przypuszczać, żeby ci, którzy szerzą nienawiść, mieli wiarę, iż w razie urzeczywistnienia się ich pragnień, t. j. — gdyby wszyscy właściciele popozbyli się swej własności na rzecz ogółu i wynieśli się na drugą półkulę, a naród cały przerodził się w niedowiarków, raj zapanowałby u nas, odzyskalibyśmy byt polityczny i możność samodzielnego rozwoju.

Naród, pozbawiony bytu politycznego, nie może budować swej przyszłości na walce stanowej i nienawiści, gdyż tylko miłość jest siłą twórczą.

Nasza polityka narodowa czy społeczna nie może opierać się na tej czy innej warstwie społecznej, gdyż wszystkie warstwy powinny dążyć do jednego głównego celu — odrodzenia narodowego i uzyskania lepszej przyszłości.

Są we wszystkich warstwach — wśród włościan i rolników, wśród inteligencyi i ziemiaństwa, natury więcej i mniej radykalne, są ludzie usposobieni demokratycznie, z sercem bijącem silnie dla Ojczyzny i umysły chłodne, rachujące przedewszystkiem zyski własne. Nigdy więc cały naród nie może się skupić pod jednym sztandarem partyjnym, uznać jeden program całej swej wewnętrznej i zewnętrznej polityki. Zawsze będą różne partye i stronnictwa — ale w narodzie, pozbawionym bytu politycznego, powinny to być stronnictwa ideowe, a nie stanowe, powinny walczyć o najlepsze zdaniem ich drogi polityki narodowej a nie o interesy pewnych warstw.

W pracy swej troszczyć się musimy o cały naród, a nie o interesy jednego tylko stanu — w tej trosce zaś musimy reagować przeciwko tym, którzy dążą do obryzgania błotem naszej przeszłości.

Kraj tak demokratyczny, jak Szwajcarya, urządza święto narodowe i dumny jest ze swej Helwecyi. W historyi naszej są błędy, ale przeważa twórczość i ofiarność na rzecz ogółu. Polska przyszłą swą budowę musi opierać na fundamentach dawnej i bogatej kultuty. Lękać się oszczerców nie potrzebujemy. Nasze nieszczęścia i cierpienia nie pozwolą na odstępstwo od kultu przeszłości, od naśladownictwa w niej czynów wzniosłych i twórczych.

Na fujarce.

Na fujarce, na wierzbowej
Małe chłopię piosnki gra —
Sny na jasną lecą głowę
I na oczy marzeń mgła.

Kto wie, za czem tęskni dziecko,
O czem prosta dusza śni?
Nikt nie wydrze dum zdradziecko,
Ani myśli, co w niej śpi.

O, bo chłopska pierś, jak urna,
Wrosła w tęskność szarych pól
Krzywd popiołem, nędza chmurna
Chowa w sobie bólów ból.

Lecz ją kryje pył wiekowy,
Nikt go nie strząsł, ani zna —
Na fujarce, na wierzbowej
Pieśń o doli cicho łka.

Stokrotka.

Praca dzieci.

W Stanach Zjednoczonych zarówno społeczeństwo, jak i prawodawstwo — zaczęły w ostatnich czasach poświęcać dużo uwagi kwestyi pracy dzieci w przemyśle i rólnictwie. Przed paroma laty powstał specyalny „Komitet narodowy w sprawie pracy dzieci“, który zebrał dużo ciekawych materyałów. Według tych danych w 1900 roku w rozmaitych gałęziach przemysłu pracowało około 688 tysięcy dzieci, a w rolnictwie — 1062 tys. W Stanach południowych w przemyśle tkackim pracowały przeważnie dzieci w wieku 7—9 lat. Ostatnie oficyalne dane stwierdzają, że liczba dzieci pracujących w przemyśle stale wzrasta. W wielu Stanach z pośród dzieci zajętych przy pracy w wieku 10 lat zaledwie 70 proc. uczęszcza do szkół, a w wieku 14 lat — tylko 1,6 proc. Agitacya w sprawie ograniczenia pracy dzieci zaczyna już przynosić owoce i rząd Stanu Indiana opracował obecnie projekt prawa, na mocy którego koleje i parostatki nie będą mogły przewozić towarów wyprodukowanych w tych fabrykach, w których pracują dzieci w wieku do 14 lat; w innych Stanach istnieje zamiar ścisłej kontroli nad dziećmi, zajętemi w przemyśle lub rolnictwie.

Austryackie biuro statystyczne również zebrało dużo materyałów w kwestyi pracy dzieci. W 1908 r. w Austryi Górnej z pośród 18,2 tys. dzieci uczęszczających do szkół — 33,8 proc. było zajętych w przemyśle lub rólnictwie; w Austryi Dolnej z 40,7 tys. dzieci w wieku szkolnym — 27,7 proc.; w Tyrolu — 37 proc.; w Czechach — 30,5 proc; na Śląsku — 52 proc.

Płacę zarobkową dzieci otrzymują przeważnie w naturze; wtych gałęziach przemysłu, w których przedsiębiorcy płacą robotnikom w gotówce płaca zarobkowa dzieci waha się od 20—70 hal. dziennie; w cegielniach i kamieniołomach od 60 hal. do 1 kor., w hutach szklanych od 80 hal. do 1 kor. 40 hal.; w przemyśle tkackim dzieci otrzymują 2 kor. tygodniowo, w rękawicznictwie 2 kor. tygodniowo.

W Norwegii we wrześniu 1909 roku zostało wydane nowe prawo o pracy w zakładach przemysłowych, które stosuje się do fabryk, warsztatów rzemieślniczych i innych zakładów przemysłowych, w których są używane motory o sile przynajmniej 1 konia; stosuje się ono również do kamieniołomów i wszelkich warsztatów rzemieślniczych, które nie posiadają motorów, ale w których pracuje więcej, niż 5 ludzi, o ile praca odbywa się nie w mieszkaniu robotników. Według tego prawa nie mogą być przyjmowane do roboty dzieci, które nie mają jeszcze 14 lat. Jednakże za zgodą lekarza, dzieci od lat 12 mogą pracować w fabrykach pod warunkiem, żeby praca nie była uciążliwa i żeby nie trwała więcej, niż 5 godzin dziennie. Młodzież do lat 18 nie może pracować dłużej niż 10 godzin dziennie i robota ich nie powinna zaczynać się przed 6 godz. rano i trwać po 8 godzinie wieczorem. Dzieci do lat 16 mogą wykonywać jedynie robotę łatwą. W tych zakładach przemysłowych, w których robota nocna jest konieczna, przedsiębiorcy za zgodą inspekcyi fabrycznej mogą przyjmować do roboty młodzież od 19 lat pod warunkiem, żeby praca nie trwała dłużej, niż 8 godzin dziennie. Inspekcya fabryczna może dać takie pozwolenie jedynie w razie nadzwyczajnego pospiechu, ze względu na nieszczęśliwy wypadek oraz w dziedzinie produkcyi towarów, ulegających szybkiemu zepsuciu.

W Niemczech w grudniu r. z. zostało wydane prawo, które w znacznym stopniu ogranicza pracę dzieci w przemyśle. Zgodnie z tym prawem dzieci do 16 lat życia, nie mogą pracować w tych oddziałach fabryk, w których są używane maszyny do czesania, rozpylania i przetłuszczania materyałów włóknistych, sierci zwierzęcej, odpadków i gałganków; przepis powyższy nie stosuje się gręplarni wełny i do tych zakładów, w których pracuje mniej, niż 10 robotników. Za zgodą władz wyższych przedsiębiorcy mogą w wyżej wymienionych oddziałach fabryk zatrudniać dzieci, pod warunkiem, żeby zostały zaprowadzone mechaniczne przyrządy do oczyszczania powietrza z pyłu i żeby praca była wykonywana ręcznie.

Jeden z największych wrogów ludzkości.

Dr. L. C. Howard zajmujący się badaniem życia i rozwoju owadów, wykrył, że prawdziwym wrogiem ludzkości jest mucha domowa, czyli jak on ją nazywa, „mucha tyfusowa“. Ów napozór nieszkodliwy owad, który można spotkać prawie we wszystkich częściach świata, a który dotąd uważany był powszechnie za więcej dokuczliwy niż szkodliwy, jest rozsadnikiem wszelkiego rodzaju zaraźliwych chorób. Więc też w Anglii, Francyi, w Stanach Zjednoczonych, gdzie każda nowa i pożyteczna myśl szybko się przyjmuje, po



Kazimierz Wielki na uczcie u obywatela Wierzynka w Krakowie.

stanowiono tępić muchy wszelkimi sposobami. Mucha jako lubowniczka wszelkiego rodzaju zgnilizny (tam się lęgnie i tam chętnie przebywa), prowadzi swoją zabójczą dla rodu ludzkiego robotę w następujący sposób:

Ciało i nogi muchy pokryte są krótkimi włoskami, do których przyczepiają się mikroby czyli zarazki chorobotwórcze, pozbierane z miejsc, w których mucha niedawno przebywała, czy to na rozkładających się odpadkach i padlinach, lub też na zaraźliwie chorej osobie. Wprost nie do uwierzenia, że zarazków takich pomieścić się może na jej małem ciele do 6 milionów! Pełna zarazków osiada mucha na naszem ciele lub też policzku, a poruszając skrzydłami rozsiewa owe zarazki po naszej twarzy, przez co kilka tysięcy mikrobów przy wdychaniu dostaje się do naszego organizmu. Robota jej jednak jeszcze nie jest skończoną. Mucha posiada ssawkę, czyli języczek, rozdzielony na dwie części, silnie do siebie przylegające w czasie spoczynku. — Ta to ssawka jest najniebezpieczniejszą dla człowieka.

Dłubiąc w zgniliźnie i z niej biorąc pożywienie, używa mucha do tego tej ssawki, w której po każdej takiej uczcie pozostają tysiące mikrobów. Ze ssawki mikroby przedostają się do jej żołądka, nie szkodząc jednak wcale musze; rozmnażają się w żołądku muchy dopóty, dopóki go zupełnie nie wypełnią. — Wtedy mucha siadając na jakimś przedmiocie, (najczęściej na chlebie, mięsie, lub wogóle na jakimś produkcie spożywczym), pozostawia tu i owdzie czarne plamki. Jeśli na plamkę taką spojrzymy przez mikroskop, zobaczymy, że zawiera ona miliony bakcyli tyfusowych, cholerycznych, tuberkulicznych czyli suchotniczych, lub trądu (w krajch gdzie trąd grasuje).

Bakcyle tuberkuliczne, wyssane przez muchę z plwocin suchotnika, pozostawione na produkcie spożywczym we formie czarnej plamki, podług doświadczeń dra Howarda zachowują swój jad przez najmniej 15 dni. Człowiek, który spożyje ów produkt przenosi zarazki do swego organizmu, w którym zaczynają one zabójczą pracę.

Gdzie tylko są muchy, tam nie brak chorób zakaźnych. Dowiedziono, że najwięcej wypadków tyfusu pochodzi najpierw z nieczystej wody i mleka, a potem od much, jako roznosicielek tej choroby. Gdy w lecie 1893 roku wybuchła epidemia tyfusu w obozowiskach wojskowych w Stanach Zjednoczonych, rząd wyznaczył specyalną komisyę lekarską celem wykrycia przyczyny. Komisya ta orzekła, że muchy były głównym powodem rozszerzania się tej chorocy, a to przez wniesienie zarazków tyfusowych do pożywienia. Tam, gdzie przedmioty i artykuły spożywcze były przykryte i zabezpieczone siatkami, liczba chorych była bardzo mała.

Letnia biegunka, której rokrocznie padają ofiarą przedewszystkiem dzieci rodziców niezamożnych, również we większej części pochodzi od much.

Straszna choroba w Afryce, zwana „śpiączką“, z której bardzo mało ludzi przychodzi do zdrowia, pochodzi także od muchy, zwanej „tsetse“.

Oftalmia, choroba kończąca się często utratą wzroku u mieszkańców dolnego Egiptu, rozszerza się tam tylko dlatego, iż mucha przenosi zarazki na zdrowych ludzi.

I nietylko dla ludzi mucha jest wrogiem, ale zabójcza jej działalność rozciąga się na zwierzęta domowe i bydło.

Ród muszy jest wprost przerażającym naszym nieprzyjacielem, nietylko ze względu na szkodliwość, ale także ze względu na szybkość, z jaką się rozmnaża.

Jedna mucha znosi około 120 do 150 jajek. Ponieważ do rozwoju muchy potrzeba tylko 11 dni, przeto w ciągu lata z każdego jajka może wyjść od 12 do 14 pokoleń, a w czasie, kiedy ostatnie pokolenie musze wylęga się, liczba much dochodzi do setek milionów, z których coprawda wiele wnet ginie.

Jedyny sposób zapobieżenia rozmnażaniu się much jest utrzymanie zupełnej czystości. Gdzie panuje czystość w domu i koło domu, tam mucha nie ma bytu. I na odwrót: w domu, w którym unoszą się całe chmary much, tam napewno niema zbyt wielkiej czystości. Baczną uwagę trzeba zwracać na naczynia z odpadkami kuchennemi itp. Odpadki te powinny być możliwie szybko usuwane i niedostępne dla much.

Nie znając muchy, cierpieliśmy nieświadomie, ale kiedy znamy jej wrogą działalność, ratujmy się i tępmy ją bez miłosierdzia. Tępić można muchy w różny sposób przez proszki, przez papier zatruty, przez szkła odpowiednio zbudowane, a najnowszym sposobem tępienia w pokojach są łapki na muchy w różnych kształtach rozciągające się jak harmoniki lub podobne do wieży. Całe są obciągane masą lepiącą, która wskutek woni i słodyczy muchy przyciąga.

Przyjaźń jest w chwilach szczęścia wdzięcznym kwiatkiem, w nieszczęściu pokrzepiającym owocem.

* * *

Gniew jest złym doradcą, a duma jeszcze stokroć gorszym.



Kościuszko i chłopiec.

ŚNIADANIE NAPOLEONA I.

Na wieżowym zegarze pałacu Tuillerie wybiła godzina 11. W ogrodzie, przed pałacem, najpiękniejsze wiosenne kwiaty zapełniają kunsztownie ułożone klomby — strzyżone szpalery okryły się świeżą młodą zielonością, dokoła świeci wszystko, roztacza woń i barwne blaski. Ale żelazny człowiek, zamieszkujący ponad temi cudami, nie ma czasu na zwracanie uwagi na kwiaty i zieloność wiosenną. Przed chwilą właśnie radził ze swymi, czerwono i fioletowo ubranymi marszałkami, w głowie jego zawsze tylko huk armat, proch i bagnety, po za tem zaś, przeglądanie papierów i dokumentów — człowiek ten umie jedynie: panować i podbijać.

11-ta minęła. Godzina przeznaczona na cesarskie śniadanie dawno przeszła i w kuchni dworskiej zapanowała rozpacz. Dania na srebrnych półmiskach, ponakrywano również srebrnemi pokrywami, ustawiono na ciepłym trzonie i czekano z niepokojem, rychło wszechwładny pan rozkazać raczy, aby podano śniadanie.

Pierwszy ochmistrz dworu, pan Dunan, stoi gotowy na każde zawołanie i nawet podczas czekania usiąść nie śmie.

Nader to dystyngowana osobistość ten pan Dunan i bogatą przeszłość ma za sobą. Ojciec jego był kuchmistrzem u ks. Condé. On sam zaś, zanim wszedł na służbę do pierwszego konsula,

który po koronacyi wyniósł go do godności ochmistrza dworu, służył kolejno u ks. de Bourbon i ks. Ludwika de Rohan.

Zielony, haftowany srebrem mundur pana Dunana, kosztuje 5000 fr., pensya jego wynosi 6000 fr. — prócz licznych dochodów i gratyfikacyi — które nieraz, jak np. w roku 1810 dochodzą do 3000 fr. Co prawda, służba jego nie należy do najprzyjemniejszych.

Jeśli cesarz jest w złym humorze, wtedy zrzuca ze stołu wszystko i trzaskając drzwiami, zamyka się w swoim gabinecie. Należy wówczas zatrzeć szybko ślady nieporządku i zastawić drugie śniadanie, albowiem zdarza się też równie często, że cesarz po chwili wraca udobruchany i ze smakiem zasiada do jadła. Klepie wówczas dobrotliwie swego ochmistrza po ramieniu i mówi z uśmiechem:

— Lepszy z ciebie ochmistrz, mój Dunan, niźli ze mnie cesarz.

Napoleon nie był bynajmniej „gourmand" i porównywając śniadania jego z daniami przygotowywanemi na stół królów francuskich, śmiało można je nazwać skromnemi.

Nigdy parweniusz tak wyraźnie nie zaznaczał się w cesarzu, jak przy jedzeniu. Jadł z pośpiechem i głośno, do ust kładł wielkie kawały, często pomagał sobie palcami i omal zawsze plamił mundur sosem. Należało także do jego zwyczaju, żeby jeść wszystko razem, bez ładu i porządku — zaczynał od deseru, kończył na bulionie. Nie był wcale wybrednym, ulubione jego potrawy były bardzo proste. Z mięsnych, przekładał kurę, pod wszelkiemi postaciami; ryb nie jadał chętnie, a ponad wszystkie najwytworniejsze dania, przenosił makaron włoski z parmezanem, który na Korsyce, tak samo jak we Włoszech, jest potrawą narodową.

Po powrocie z wyprawy do Egiptu, konsulowi Bonapartemu przyszedł kaprys widywania na swoim stole ryżu, gotowanego z daktylami — ta fantazya atoli nie utrzymała się długo.

Prawdziwą idyosynkrasyę czuł do drobnej, zielonej fasoli, tak powszechnie jadanej we Francyi. Mawiał, że przywodzi mu ona na pamięć włosy, a sama myśl znalezienia włosa w jedzeniu, przejmowała go dreszczem obrzydzenia.

Serwisy na cesarskim stole były po większej części srebrne, artystycznie cyzelowane, o formach przypominającyh klasyczne wzory, jak to styl Empire wskazuje.

Na większe recepcye używany był serwis porcelanowy ze złotem i wspaniała kryształowa zastawa, która kosztowała 23 463 franki.

W roku 1804-tym, podczas obchodu koronacyi, miasto Paryż ofiarowało cesarzowi serwis srebrny ze złotem, wartujący ogromną sumę. W roku 1811-tym, wartość serwisów cesarskich wynosiła 3 050,000 franków.

Śniadanie jadał zwykle osobno. Pierwsza jego żona, Józefina, nie ukazywała się nigdy przy śniadaniu. Po ożenieniu się z Maryą Ludwiką, śniadał z nią razem tylko od czasu przyjścia na świat syna.

Później pani de Montesqieu, wychowawczyni „dzieci Francyi", musiała cesarzowi przynosić codziennie podczas śniadania małego króla Rzymu.

Kiedy malec był już nieco starszy, ojciec brał go na kolana i pieścił się z nim po „żołniersku", co nieraz tworzyło wesoły obrazek rodzajowy.

Cesarz lubił niezmiernie dawać dziecku kosztować wszystkiego, co sam jadł, zacząwszy od wina, a skończywszy na jakimś ostrym sosie i śmiał się z pociesznych min chłopczyny, a bardziej jeszcze z przerażenia i protestów pani Montesqieu, która w obawie o zdrowie swego wychowańca, poprostu wpadała w rozpacz.

W podobny sposób bawił się cesarz ze swymi siostrzeńcami — to jest dziećmi brata swego i sióstr. Ulubieńcem cesarza w tej gromadce był najstarszy syn Ludwika Bonapartego, Napoleon Ludwik — do czasu przyjścia na świat króla rzymskiego uważany za następcę tronu.

Kiedy razu pewnego cesarz dał mu pokosztować mocnej, czarnej kawy i zapomniał ją osłodzić, malec skrzywił się okrutnie i był blizkim płaczu.

— Daleko ci jeszcze do wielkości, nie umiesz udawać — rzekł na to cesarz.

Z bardzo źle wychowanemi dziećmi sióstr: Karoliny (pani Murat) i Elizy Bacciochi (księżnej Piombinio), rozgrywały się nieraz burzliwe sceny.

Gdy za jakąś swawolę cesarz chciał małego Achillesa Murata pociągnąć za ucho, czupurny dzieciak z pięścią przyskoczył do wuja i krzyknął: — Jesteś niegodziwcem i rozbójnikiem!

Kiedy znów małemu Bacciochiemu wielki mocarz uczynił uwagę, że strasznie posmolił się po śniadaniu, pięcioletnie książątko z dumną minką zsunęło się z fotela i odpowiedziało napuszone:

— Jeśli wujaszek będzie mi mówił takie głupstwa, to ja tu wcale przychodzić nie będę.

Zdarzało się też czasem, że podczas śniadania bywali do cesarza dopuszczani artyści lub uczeni, ponieważ poza godzinami posiłku, niewiele chwil wolnych pozostawało Bonapartemu.

Talma, najznakomitszy aktor z czasów Cesarstwa, cieszył się wielkiemi Napoleona względami.



Resztki lata.

Cesarz udzielał mu rad i wskazówek i hojnie obsypywał darami. Z darów tych, od 1806 do 1812 r., Talma zebrał 195,200 franków.

Podczas śniadań, obradował także Bonaparte z panem Denon, dyrektorem cesarskiego Muzeum, który ze wszystkich stron świata gromadził do Louvru dzieła sztuki i cenne zabytki.

Obok pana Denon ukazywali się czasem: matematyk Monge, architekt Fontaine, który zwycięzcy z pod Austerlitzu cuda opowiadał o projektach nowego pałacu, nareszcie malarze: Gerard, Isabey i wielki Dawid.

Cesarz łaskawie pozwalał szkicować swoją podobiznę podczas śniadania i najlepsze portrety jego datują się właśnie z owych czasów.

Z powyższego opisu sądzić byłoby można, iż czas trwania śniadań wielkiego mocarza przeciągał się długo, bynajmniej przecież tak nie było. Jak już wyżej zaznaczyliśmy, cesarz jadł z pośpiechem, a jak wiadomo, był nader żywego temperamentu. W 10 do 15 minut sprzątano ze stołu, poczem zwykle przechodził cesarz na chwilę do apartamentów żony.

Za czasów Józefiny, lubił znienacka wpadać pomiędzy rój wystrojonych dam dworskich i wywoływać popłoch, jak na polu bitwy. W salonach Maryi Ludwiki bywało ciszej i poważniej. Cesarz nieraz zasiadał wygodnie na fotelu, aby zdrzemnąć się na chwilę. Po kilku atoli minutach, zrywał się szybko, żegnał żonę uniżonym ukłonem i ucałowaniem ręki i zamykał się w swoim gabinecie, skąd rozlegały się niezmordowane, miarowe jego kroki — a głos, nawykły do rozkazów, dyktował przybocznemu sekretarzowi potężne, wiekopomne myśli. Dziwną i zaiste wyjątkową była organizacya tego człowieka, który w bajecznie krótkim czasie doszedł do tak olbrzymiej potęgi, że wstrząsnął całą Europą.

A. — Z.

Dziwna choroba.

Niejeden już może z czytelników słyszał o dziwnej chorobie, zwanej agorafobią, czyli obawą przestrzeni. Kiedy przed kilkudziesięciu laty zapoznano się bliżej z jej objawami i poczęto ją badać ze stanowiska naukowo-lekarskiego, ogół nieledwie lekarzy wstrząsał z powątpiewaniem głową, wyrażając się o „nowej chorobie“ bardzo niedowierzające. Zasługa jej odkrycia należy się Amerykaninowi George Miller Beard, (1839 – 1883), ale zbadał ją dopiero, opisał objawy i określił jako chorobę w roku 1871 znany berliński lekarz chorób nerwowych prof. Westphal. Jako przykład podał autor 2 jej najcharakterystyczniejsze przypadki. Pewien wybitny znawca sztuki w Niemczech, opanowany tą chorobą, nie był w stanie przejść sam przez niewielki placyk, leżący między jego mieszkaniem a galeryą obrazów, której był dyrektorem, ani też samotnie przebywać w salach — zawsze musiał towarzyszyć mu służący. Jeżeli próbował wyzwolić się z pod tego przymusu, natychmiastowo — pozostawiony sam — odczuwał ogromny strach i lęk. Uczony ten, silny i okazałej postawy, który w stojącej prawie za miastem wili samotnie noce całe przepędzał bez najmniejszej obawy, zajęty pracą w swym gabinecie, na widok większego placu, lub długich galeryi w muzeum doznawał niepokonanego niczem strachu i drżenia na całem ciele. Natomiast ani jeden z tych objawów nie miał miejsca, o ile znajdował się w towarzystwie znajomej mu osoby.

Inny przypadek. Znany muzyk i profesor konserwatoryum w jednem z głównych miast niemieckich nie potrafił wydalić się poza pewną ulicą w okolicy swego mieszkania. Po najbliższych jego mieszkania ulicach obracał się pewnie i śmiało, z chwilą jednak, gdy przekroczył zakreśloną sobie w chorobliwym stanie imaginacyjną granicę i wszedł w ulicę już poza nią leżącą, opanowywał go lęk, strach i drżenie, przechodzące nieledwie w stan szału. Natomiast, o ile towarzyszyła mu mała córeczka, lub matka staruszka, a więc osoby nie zdolne nawet w razie jakiegoś niebezpieczeństwa udzielić mu pomocy lub ratunku, przecież nie odczuwał żadnego z objawów tej choroby i mógł przechodzić wszędzie, gdzie zechciał.

W innych wypadkach objawy agorafobii występują u osób dotkniętych przy przechodzeniu przez mosty, przy wejściu na większe place, do wielkich budynków, kościołów, sal itd. Przed kilku laty jeden z posłów parlamentarnych zmuszony był złożyć swój mandat, gdyż za każdym razem, gdy wchodził do sali obrad, odczuwał objawy niczem nie dającej się przezwyciężyć agorafobii.

Często jednym objawem tej dziwnej choroby są poty, bijące na człowieka nią dotkniętego w krytycznych momentach, to jest przy wejściu do sali, na most itd., w wielu jednak wypadkach występuje ona w ostrzejszej formie, kończąc się nieraz napadem szału, omdlenia, a nawet niekiedy śmiercią. Występuje ona dalej w różnych odmiennych, trudnych wprost do sklasyfikowania formach: najczęściej jako obawa większych przestrzeni, czasem przy wchodzeniu lub schodzeniu na schodach, przy przebywaniu pewnych tylko miejsc itd.

Ciekawy jest wypadek, w którym pewien stały bywalec teatralny w napadzie tej choroby nabrał nieprzezwyciężonego wstrętu do pewnych miejsc na widowni. Nie mógł usiedzieć ani pod głównym żyrandolem, ani w środkowych siedzeniach na parterze, lecz jedynie z samego skraju, tuż przy wyjściu. Powodem tego nie była obawa np, że świecznik może spaść, lub przekonanie, iż w razie pożaru miejsca tuż przy wyjściu są najbezpieczniejsze, gdyż ta sama osoba w towarzystwie drugiej znajomej, bez obawy, już bez jakichkolwiek odznak agorafobii siadała na dowolnem miejscu pod świecznikiem i w środkowych rzędach.

Często chorzy starają się upozorować dziwne swe obawy konkretnymi wypadkami. Uważny jednak psychiatra, badając rozwój choroby, przekona się, iż rzecz się ma wręcz przeciwnie: najpierw pojawiła się choroba sama, niczem właściwie nieusprawiedliwiona, a dopiero później, chory, zdając sobie z niej sprawę, starał się usprawiedliwić ją zdefiniowaną jakąś przyczyną.

Objawy tej choroby można jednak przecież mechanicznie trzymać na wodzy; pewien artysta dramatyczny bez obawy mógł przebywać dowolne przestrzenie — na których kiedyindziej zresztą doznawał stale objawów agorafobii — jeżeli w myśli deklamował jakiś ustęp z roli. Niekiedy do tego samego prowadzi np. niesienie pewnego przedmiotu, wytężenie myśli w innym kierunku, przebiegnięcie placu kłusem, towarzystwo psa, lub w końcu przebycie przestrach budzącej przestrzeni czy drogi z oczyma spuszczonemi w dół. Sposobu takiego jednakże nie można przewidzieć, gdyż jest on ściśle indywidualny i w każdym wypadku inny; nieraz to, co dla jednego z chorych jest zbawienne, u innego wywołuje wręcz przeciwny skutek, potęgujący strach.



W jesieni.

Odmianą agorafobii jest obawa przed zamknięciem (klautrofobia), której ulegają chorzy, o ile są własnowolnie chociażby zamknięci na klucz w pokoju. Choroba ta przybiera nieraz tak ostrą formę, że chory imaginując sobie, iż drzwiami wyjść nie może, w napadzie strachu i szału wyskakuje rozpaczliwie oknem, ponosząc w upadku kalectwo, a może nawet śmierć.

Zanim oznaczono agorafobię jako specyalną chorobę, wszystkie jej przejawy i rodzaje podciągano pod nazwę idyosynkrazyi. Już w starożytności znamy przykłady, gdzie niektóre osoby nie zno-

siły pewnego zapachu, np. róży, pewnych szmerów itd., objawiając przytem chorobliwy wstręt czy przestrach. Caesar i Wallenstein nie znosili miauczenia kota, Mozart dźwięku trąb itd. Nic więc dziwnego, że skoro wyżej przytoczone objawy podporządkowywano pod idyosynkrazyę, że do tej samej kategoryi zaliczono również i agorafobię, co do której dzisiaj jeszcze nie są zgodne zdania wszystkich lekarzy. Dzisiaj omyłka w tym kierunku jest trudniejszą, bo nie sposób przecież posądzać o idyosynkrasyę inteligentnego i zdającego sobie ze wszystkiego sprawę pacyenta, który skarży się lekarzowi na lęk jakiś dziwny i obawę przed czemś, czego zresztą określić nie potrafi. Bo nie umie on objaśnić czemu właściwie boi się przez plac lub most, zejść ze schodów, lub przebywać w wielkich salach, skoro już do usunięcia zupełnie tego lęku wystarcza mu towarzystwo dziecka lub psa.

Wogóle do najnowszych nieledwie czasów medycyna tego rodzaju choroby podciągała pod rubrykę chorób umysłowych i manię prześladowczą. Dopiero wystąpienie Bearda z nauką o neurastenii i jej przejawach, jak słabość nerwów, zdenerwowanie i ich najrozmaitsza reakcya, rzuciło jasny snop światła na tę chorobę. Usiłowania te poparł w dalszym ciągu prof. Westphal określając ją, podając charakterystyczne jej przypadki i objawy, podając w końcu sposób leczenia, polegający w zasadzie na zupełnym wypoczyuku, zmianie miejsca pobytu, odżywianiu się i czasowej zmianie zajęcia.

Z naszych zdrojowisk najlepiej nadaje się do leczenia wszelkich objawów neurastenii Krynica, następnie: Żegiestów, Zakopane, Jaworze, Bystra Kisiełka koło Lwowa, Ojców, Kossów itd. Niektórzy lekarze chorób nerwowych zalecają w tego rodzaju wypadkach suggestyę i hypnozę i to z powodzeniem.

Przygody podróżne śpiewaczki.

Melba, sławna śpiewaczka, australka, powróciła do Londynu z występów gościnnych w kraju rodzinnym. Opowiada ona o swoich przygodach podczas tej podróży:

W Melbournie przyjęto ją z takim entuzyazmem, że aż ją zaaresztowała policya. Inaczej nie uszłaby z życiem przed owacyjnem przyjęciem rodaków. „Na dworcu“ — pisze, przedstawiając ten tragiczny wypadek — „przygotowano dla mnie uroczyste przyjęcie. Chór, złożony z 1500 kobiet, miał mię powitać. Postanowiono również wygłosić kilka mów. Gdy pociąg zajechał na stacyę, ścisk tamże był tak wielki, że ani ja do chóru, ani też chór do mnie nie mogliśmy się zbliżyć wzajemnie. Moich towarzyszy podróży zalał tłum ludzi, a mnie samą musiała ratować policya, umieszczając mnie w pierwszem lepszem miejscu bezpiecznem. Tem miejscem była cela telefoniczna w pobliskim hotelu. Zamknięto mnie tam czemprędzej. Nie pozostawało mi nic innego, jak czekać cierpliwie, aż sią tłum rozejdzie.“ Ta przygoda nie była pozbawiona i drugiej dość śmiesznej strony. Gdy Melba i kilku jej towarzyszy podróży pocieszali się po doznanym zawodzie, zjawiła się na widowni dalsza osoba dotknięta boleśnie nieudałą owacyą, a mianowicie mała dziewczynka w sukniach całkowicie podartych i płacząca żałośnie. Ta dziewczynka była jedyną osobą z pomiędzy wszystkich wydelegowanych do przyjęcia w Melbourne, która dotarła do celu. Małe dziewczę otrzymało zlecenie wygłoszenia mowy powitalnej w imieniu deputacyi wielkiego szpitala. Tłum oddzielił dziecko od towarzyszek, drąc na niej suknie i niszcząc zupełnie bukiet, przygotowany dla Melby. Nie wiedząc, co począć, dziewczę wręczyło w swem roztargnieniu Melbie wiązankę połamanych łodyg, jako resztki bukietu, którego nie wypuściło z ręki podczas całej podróży błędnej. W jednem miasteczku Melba doznała niezwyczajnego uczczenia: „Gdy wychodziłam na scenę“ — opisuje dalej śpiewaczka — „zauważyłam otwarte okno. Wydałam rozkaz służącemu, by je zamknął. Ten wrócił natychmiast i oświadczył, że siedzi na niem dwóch chłopców. Melba kazała zawołać tych gości nieproszonych i wskazała im miejsca koło orkiestry. Chłopacy, przekonawszy się, że Melba nie wymaga od nich współudziału w orkiestrze, uczynili zadość jej poleceniu. Po skończonym koncercie śpiewaczka zwróciła się do swych młodych gości i rzekła zupełnie seryo: „Słuchajcie! każdy z was jest mi winien jedną gwineę.“ Starszy z nich odpowiedział nie namyślając się wcale: „Nie! jesteśmy o wiele więcej winni.“ W Rockhampton w Queenslandrie przyszła na koncert większa ilość gości nieproszonych. „Wiele osób“ — opowiada Melba — „nie dostało wcale miejsca i stanęło zewnątrz sali. Tam odnaleźli drabinę, opartą o ścianę. Wydrapali się po niej na dach, skąd przez okno w dachu przysłuchiwali się koncertowi. W ciągu wieczora zauważył drabinę jeden z służących i umie

ścił ją na właściwem miejscu. Słuchacze na dachu, niechcąc się zdradzić, czekali, aż się rozejdzie publiczność. Zobaczyli jednak z przestrachem, że niema drabiny i że odcięto im w ten sposób drogę odwrotną. Budynek leżał w dzielnicy odludnej. Musieli spędzić całą noc na dachu. Dopiero dnia następnego policya uwolniła ich z nader nieprzyjemnego położenia.

DLA ROZRYWKI

Gry towarzyskie.

Sekretarz.

Oprócz powszechnie znanych sekretarzy, najmodniejszym jest obecnie w Paryżu taki. Za inicyatywą kierownika obecni piszą na kartkach *przymiotnik* rodzaju męskiego. Złożone kartki, a raczej zagięte tak, ażeby wyrazu napisanego widać nie było, kierownik tasuje w cylindrze i znowu rozdaje obecnym. Ci wypisują teraz po jednem nazwisku obecnych panów. Gdy ponownie zagięte kartki potasowane zostaną w cylindrze, pisze się na nich przymiotnik żeński, a po przetasowaniu imiona lub nazwiska pań obecnych, potem miejsce, w którem się spotkali ze sobą, następnie odpowiedzi na pytania: co pan powiedział pani? potem — co pani mu odpowiedziała? i w końcu — co z tego wynikło i co na to świat powiedział?

Odczytanie kartek pobudza nieraz obecnych do homerycznego śmiechu.

Malarz i farby.

Kierownik oświadcza, że jest malarzem i obecnym nadaje nazwy różnych farb, jak biała, czarna, czerwona, niebieska i t. d. Tyle musi być nazw, ile jest osób grających.

Oprócz nazwy, na którą farba odpowiada inną farbą, są jeszcze cztery wyrazy, wymagające różnych odpowiedzi, i tak:

Malarz mówi, że do zrobienia obrazu potrzeba mu *palety*.

Grający odpowiadają na to: *farby, farby*.

Jeżeli mówi, że mu są potrzebne *farby* — odpowiadają: *jesteśmy!*

Jeżeli wymienia *pędzel* — odpowiadają *szczotka, szczotka!*

I w końcu, jeżeli powie *szczotka* — wszyscy krzyczą: *zmazać, zmazać!*

Jeżeli jednak wygłasza nazwę jednej farby, to ta odpowiada przez wymienienie innej, która mówi: *służę, mistrzu!*

Za każdą pomyłkę — fant!

Aforyzmy.

Wybiera się jedno przysłowie, zdanie, aforyzm, myśl popularnego pisarza itp. i każdy bierze sobie jeden wyraz. Przedtem ktoś z obecnych wychodzi do drugiego pokoju. Przypuśćmy, że obrano przysłowie: „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje“. Jeden bierze wyraz *kto*, drugi *rano*, trzeci *wstaje* itd. Wołają nieobecnego i teraz każdy powinien mu powiedzieć kolejno zdanie, w któremby się znajdował otrzymany wyraz. W naszym przykładzie siedm osób musi powiedzieć siedm zdań odpowiednich, a z tych zdań należy odgadnąć wyrazy przysłowia. W zdaniach wyrazy te powinny być używane w tych samych przypadkach i odmianach, w jakich są użyte w obranem przysłowiu, aforyzmie itp.

Jeżeli kto nie odgadnie przysłowia, daje fant, a zastępuje go inna osoba.

Anegdoty.

Zasługa.

Grenadyer francuski z armii marszałka Davousta, pochwycony na kradzieży w czasie marszu, skazany został na powieszenie. Przedmiot kradzieży, której dopuścił się grenadyer, ważył sześć funtów.

Marszałek tedy, kiedy skazanego prowadzono na plac egzekucyi, wyrzekł:

— Widać, że bardzo mało cenisz sobie życie, kiedy je tracisz dla nędznych sześciu funtów.

— Panie marszałku — odpowiedział żołnierz — codziennie narażałem je dla nędznych pięciu sous.

Marszałek, tknięty tym wyrzutem, udarował go wolnością.

W sądzie.

Pewien żydek, nie mogąc się doczekać swojej sprawy w sądzie, idzie do sędziego i mówi:

— Za przeprosieniem wielmożnego sędziego, co wielmożny sędzia ma do mnie, że tyle spraw mniej ważnych już wyszło, a moja, taka ważna dotąd nie wychodzi?

Sędzia odparł:

— Bo wyście wszyscy nic warci, wyście zamordowali Chrystusa.

— Ny, On sam sobie winien — zawołał żyd bez namysłu — czemu on nie apelował do tego sądu? Gdyby apelował, toby tak długo czekał na sprawę, że żyłby sobie dotąd. Czemu nie apelował?

Po takim argumencie sędzia zaraz na dzień następny sprawę wyznaczył.

Stworzenie świata.

Innego żydka zapytano, z czego Pan Bóg świat stworzył.

— Ny, z niczego.

— Jak ty to rozumiesz?

— Ja rozumiem? A no, wtedy było wszystko tanio, to Pan Bóg mógł sobie pozwolić, ale niechby dzisiaj spróbował! Ny!...

Łamigłówki.

Szarada.

Pierwszą zawsze wypowiadamy,
Skoro cośkolwiek zaprzeczamy,
Drugą, pierwszą o sobie mówimy,
Gdy kogoś dosięgnąć pragniemy.
Trzecia zwierz dziki, u nas nieznany,
Tylko w menażeryach napotykany,
Całość, mąż znany, rodem z Poznańskiego,
Oficer pułku francuzko-polskiego,
Którego czyn, znany światu całemu,
Przynosi chlubę wojsku polskiemu.

Dokładne rozwiązania łamigłówek prosimy nadsyłać najpóźniej do 22. września na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 40.

Rozwiązania

łamigłówek zamieszczonych w nr. 36.

Logogryf.

Poto....... K
Arn........ O
Newto..... N
Siemiradzk. I
Kaw....... A
Infan...... T
Erla........ U
Odynie..... C
Kałamar... Z
Ondin...... Y

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicyi:

pp. Konstanty Cag, Michał Chciuk, Marya Chciukowa, Justyn Cholewik, Marya Doręgowska, Zygmunt Gaudnik, Jan Gawron, L. Goettel, Emil Gruszecki, Jan Habela, Jan Inglot, E. Kamiński, Otylia Kostańska, Teodozya Kraliczkowa, Henryk Królicki, Julian Krzysztofowicz, Brunon Marcinkowski, Z. Mąślakiewicz, Wacław Nowosielecki, Karol Pacuła, Stanisław Pec. Wanda Rostkówna, P. Stolarzewicz, Stanisław Szóstak, Helena Suchecka, Władysław Trybała, Stanisław Turczański, Stefania Wdówkówna, Anna Wełnianka.

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska:

pp. K. Balcerski, Melania Brzezińska, Maryla Galon, Anna Hofman, „Janek z pod Góry Przemysława“, Marya Jankowska, Halina Jarnatowska, Halinka Jordanówna, Zofia Karasiewicz, Marya Konopińska, Zygmunt Krajewski, A. Kujawski, Krysia Maciejowska, Fr. Nawrocka, J. Olejniczak, Helena Rucińska, Zofia Stachowska, Jan Wachowski. Oleńka Żurkowska.

Z obczyzny i zagranicy:

pp. Hieronim Jaworowski z Drezna, Helena Sokołowska z Berlina, Emilia Świątkowska z Monachium, Walerya Vogtowa z Wattenscheid (Westfalia), Czesław Żerkowski z Antwerpii (Belgia).

Nagrodę otrzymali:

pp. A. Kujawski z Śremu, Zofia Karasiewicz z Tucholi, E. Kamiński z Grabin p. Przyborowo, Jan Habela (Jasna — Podłopień — Galicya).

Uwaga: *Przy rozdawaniu nagród nie uwzględniamy pseudonimów.*

Od Redakcyi.

Serdeczny oddźwięk, jaki obudziło nasze stanowisko w sprawie obchodu Grunwaldzkiego, które nie oglądało się na żadne kompromisy, a za jedyną oryentacyę uważało: dobro narodu — ów oddźwięk i słowa uznania ze wszech stron były TYGODNIKOWI NARODOWEMU wskaźnikiem, iż idzie dobrą drogą.

Z nie mniejszą szczerością i z myślą o dobru publicznem rozpoczęliśmy oświetlać nasze współczesne życie publiczne i nasze społeczeństwo. Nie idziemy przeciw prądowi ani za prądami; nie chcemy chwalić dla chwalby samej, ani wytykać dla wytykań samych: ale nazywamy rzecz po imieniu w tem przekonaniu, że prawdą szczerą najlepiej się służy społeczeństwu. To Czytelnicy nasi odczuli najlepiej. Z kilku stron dostaliśmy znowu wyrazy uznania za nasze stanowisko, to samo uznanie wyraża TYGODNIKOWI prasa polska, która coraz częściej powołuje się na Tygodnik i nasze zdania uwzględnia. W pismach różnych obozów, od najpoczytniejszych począwszy, nieraz znaleźliśmy przedruki naszych uwag; zwłaszcza prasa prowincyonalna, uznając wartość i znaczenie naszych publikacyi niejednokrotnie powtarzała artykuły TYGODNIKA.

I to uważamy za wyraz wysokiego uznania, jakie zdobyło sobie pismo młode i niezależne.

Od Administracyi.

Wszelkie reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czytelnikom uwagę na to, iż reklamacye koniecznie muszą być nadesłane w **otwartej** kopercie. Reklamacyi w zamkniętych kopertach niefrankowanych nie przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam za nie podwójne porto.

Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu. Czcionkami „Dziennika Poznańskiego“.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

WRZOS

NR 38

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Wystrojona, ładna, uśmiechnięta, zbiegała na ulicę, co krok witała znajomych, i wiecznie czemś mocno zajęta, zaaferowana, załatwiała pośpiesznie wizyty, sprawunki, a szczególnie miała zawsze, codzień, jak rok długi, jakiś niecierpiący zwłoki interes do krawcowej.

Ponieważ zaś dla uproszczenia kardynalnej kwestyi strojów miała krawcowych i szwaczek sześć, a nigdy do żadnej nie przyszła na umówioną godzinę, bo zawsze jej coś przeszkodziło, więc, sprawy te zajmowały jej większą część dnia i była zapracowana do obiadu, który miał być o piątej, a bywał, jak się zdarzyło.

— Zwykle przyprowadzała z sobą znowu którą z sióstr lub z legionu kuzynek, znowu gadały, gadały, gadały. Zwykle też wieczorem porywała się pani Tunia za głowę, spojrzawszy na zegar:

— Rany Boskie! Miałam być o szóstej u Jóźwickich, a to już siódma. Leontyno, prędzej ubieraj mnie! Gdzie fularowa suknia? Żelazko do fryzowania mi grzejcie! Mój Boże, ja nie wydołam doprawdy! Głowę trzeba utracić w tym odmęcie roboty!

Albo porywała się o wpół do dziewiątej:

— Jezus Marya! A toć Julek na mnie czekał w teatrze. Na śmierć zapomniałam. Boże, gdzie się podziały białe rękawiczki? Bilet mi zostawił na wypadek, gdy się spóźnię. Gdzież ten bilet! Leontyno, gdzie klucze? Janie, leć po dorożkę. Spóźnię się! Ach Boże!

Znając obyczaje domu, Andrzej był pewny, że o czwartej nikogo nie zastaną.

Zadzwonił i sięgał ręką po kartę, gdy lokaj drzwi otworzył.

Ale Jan się usunął i nisko ukłonił, a z daleka już słychać było głos Tuni.

Wyjrzała i skoczyła z powitaniem:

— Nareszcie! Chodźcie! Jest mama i dziewczęta. Ta wyprawa mnie dobije! Głowę tracę i nóg nie czuję. W tej chwili wracamy ze sprawunków. Od jedenastej na mieście! Kaziu, pomóż nam!

— A my od dwunastej z wizytami!

— Wiem, wiem! Byliście u Wolskich. Panny już cię ogadały!

Zwróciła się do Andrzeja;

— Nie mógł się też pan z którą ożenić? Byłoby o jedną jędzę mniej!

— A o jednego męczennika więcej! — odparł.

Weszli do salonu i zastali dwie siostry z matką nad stosami próbek z dwudziestu conajmniej magazynów.

Przyszła teściowa Markhama i zaczęła rozpytywać Andrzeja o fabrykę spółkową.

— Bo to podobno będziecie ją mieli na prowincyi, w Grodzisku! — rzekła, krzywiąc się lekceważąco.

— Tak i młoda para tam zamieszka!

— I ta olejarnia. Jak to musi nie pachnieć. Tak daleko będę od reszty dzieci! Czy chociaż ładny dom?

— Bardzo elegancki pałacyk, duży ogród.

— Ale ludzi niema, towarzystwa! Ciężko na starość zrywać stosunki tyloletnie! A interes, jak pan myśli, pewny? Bo to cały fundusz Emilki w to kładziemy! Broń Boże Markhamowi noga się powinie, zostaniemy bez grosza!

— Pani radczyni zmieni trochę akcyi, Markham senior nie kupi jednego gobelinu, to grosz się znajdzie i podsztukuje nogę Markhamowi.

— Pan żartuje, a u mnie dusza na ramieniu. Zakopać dziecko żywcem w grób, wyłożyć tyle pieniędzy... Ach mój Boże! Ciężki jest los matek!

Westchnęła, chwilę milczała, potem pochyliła się do niego bliżej.

— Panie Andrzeju, czy pan zna młodszego Iwickiego?

— Młodszego? — uśmiechnął się! — Któryż to? Rejent czy radzca?

— Radzca przecież żonaty!

— A rejent wdowiec. Prawda! Zatem rejent młodszy. Tego zna lepiej mój ojciec, bo grywają w winta, i bywają razem w Karlsbadzie. Czy on prowadzi interesa pani radczyni?

— Nie. Bywa u mnie! — odparła wymijająco.

— Panie Andrzeju — zagadnęła Tunia — czy to prawda, że nasz Markham spirytysta?

— Wątpię — chyba dlatego, że zapewne bawi pannę Emilię rozmową o związku dusz.

— Nieznośny pan jest! — nadąsała się narzeczona, a Tunia rzekła:

— Wolskie rozpowiadają, że ma jakieś medyum, i po nocach urządza jakieś seanse!

— Widocznie Wolskie lepiej odemnie wiedzą, jak Markham spędza noce, bo ja o niczem podobnem nie wiem.

— Czego Wolskie nie wymyślą! — mruknęła radczyni.

— Nie wymyślą nigdy dobrego słowa! — rzucił niecierpliwie.

Zwrócił się do żony, dając znak dyskretny.

— Co? Chce mi ją pan zabrać! — zaprotestowała Tunia. Mam z nią mnóstwo do mówienia i zatrzymuję. Moglibyście bez ceremonii zostać na obiad. Nawet może Julek będzie.

— Nie mogę, mam o piątej ważny interes. Zostawię ci powóz! — rzekł do żony.

— Ależ nie, bardzo chętnie wrócę pieszo.

— Pożegnał tedy panie, Tunia przeprowadziła go do przedpokoju i zatrzymała.

— Wie pan, Wolskie gorsze rzeczy głoszą — zaczęła cicho. — Powiadają, że Markham utrzymuje Burecką.

Żachnął się niecierpliwie.

— A jeśli tak jest, co im do tego!

— Im nic, ale nam bardzo! To musi być zerwane! Niech pan wpłynie na niego!

— Markhama nie trzeba uczyć, co wypada! Zresztą dalsze jego postępowanie zależy od żony i jej wpływu.

— No, no, niech pan się w morały ze mną nie bawi, i ostrzeże po przyjacielsku Markhama, wiem, jak jest, i wiem, czego wymagam! Emilka nie jest Kazia!

Pogroziła mu palcem i wróciła do salonu.

— Kaziu, chodźno na chwilę ze mną! — zawołała i wyprowadziła ją do sypialni.

— Wiesz — interesa twoje się poprawiają — szeptała poufnie. — Pani Celina zdradza go z Maksem Unfriedem. Lada dzień będzie skandal.

Kazia ruszyła ramionami.

— Żebyś wiedziała, jak mi to obojętne!

— Bajesz? A ja się tak ucieszyłam, bo to Wolskie rozpowiadają, że Andrzej chce się już rozwodzić, że ty żebrzesz litości, żeś ostatnią jego służebnicą, że tobą pomiata! Bóg wie, co za nikczemności i kłamstwa. Kipiałam z oburzenia!

— Poco — uśmiechnęła się apatycznie Kazia.

— Jakto poco? — oburzyła się Tunia. — Ty jesteś ślimak, ostryga. Zlituj się, czy ty nie masz odrobiny ambicyi? Jakto! Nie odbić rodzonego męża starej awanturnicy, nie zmusić go, by się w tobie rozkochał, za tobą szalał, tobie służył, ciebie uwielbiał! Umarłabym z hańby i wstydu, żebym tego nie zrobiła.

— Poco mi to? Nie cierpię go, był mi obojętny, stał się wstrętny. Będę najszczęśliwsza, gdy o mnie zapomni. Chciałabym tylko dla niego

nie istnieć. Pozatem, niech sobie kocha, trzyma, zdradza, zdobywa, kogo sobie chce!

— Bój się Boga. Ty chyba kochasz innego?

— Kocham i on to wie! — wybuchnęła Kazia.

— W takim razie jesteście oboje potwory! — zawołała impetycznie Tunia.

Kazia milczała.

Zmęczona była i znękana niezmiernie; czuła potrzebę zwierzenia skargi, a zrozumiała, że Tunia jej nie pojmie.

Powstała, przesunęła rękę po oczach, zapanowała nad sobą, zdobyła się na uśmiech.

— Potwory zapewne! Raczej galernicy, skuci łańcuchem! Ano, może Wolskie raz wypadkiem powiedzą prawdę o tym rozwodzie.

Tunia odetchnęła z wrażenia.

— To nie może być! Gdzieżbyś się tak prędko zakochać mogła! Brednie! Nikogo nie znasz. Chybaś nie oszalała za Radliczem.

— Nie, przysięgam! — uśmiechnęła się.

— No to w kim? Mów! Muszę wiedzieć! Nie puszczę cię, aż powiesz. Gdzie on jest?

— Gdzie? Bardzo daleko. Zresztą pisałam kiedyś do ciebie, żem zaręczona. Zapomniałaś?

— Kiedyś, kiedyś! Prawda, pisałaś! No, ale potem on przepadł. Jakiś student! Aha! pamiętam! No — więc to — to! I tyle! Więc wrócił! Jest w Warszawie?

— Nie! Od dwóch lat nawet pisywać przestał do babki!

— I to w nim ty się kochasz! Cha, cha, cha! Wierzę, że nawet Andrzej ci na to pozwala!

Śmiała się, śmiała, aż na tę wesołość wpadły siostry, pytając, co się stało.

Szczęściem dla Kazi, ukazała się jednocześnie Leontyna z wielkiem pudłem:

— Proszę pani, przynieśli od krawcowej!

— Nareszcie! — krzyknęła Tunia. — Pokaż, pokaż!

— Mamo, Emilko! Chodźcie! Mam nareszcie zielony kostyum! Zaraz go zmierzę. Leontyno, rany Boskie, gdzie klucze? Daj nowy gorset!

Już zapomniała o zabawnej, pysznej anegdocie z romansem Kazi, nawet o niej samej.

Pewnie nie zauważyła, kiedy się z nią pożegnała, i o cudo! nie przeprowadziła do przedpokoju na dwa słówka.

Prezes spotkał Kazię na ulicy i wyznał szczerze:

— Wiesz, zatęskniłem za tobą i wyszedłem na poszukiwanie. Cóż, bardzoś zmęczona?

Taka szczera radość i serce patrzało na nią ze starych oczu teścia, że uśmiechnęła się do niego.

— Zmęczona nie, ale znudzona. Niechaj ojciec zgadnie, ile razy mnie zapytano, jak mi się podoba Warszawa?

— Ano, każdy i każda. No, a gdzież ci było najznośniej?

— U stryjostwa.

— Co! W tym instytucie moralnie zaniedbanych dzieci. Winszuję!

— Doprawdy! Stryjenka wesoła i dobra, stryj poważny i myślący, a dzieci nie wydały mi się gorzej rozpuszczone od naszej Zosi w Gurowie.

— To nie wielka pochwała. No proszę i Feliksowie mogą się komuś podobać i to jeszcze mojej Kazi. Tej sympatyi z tobą nie dzielę.

Ale uśmiechał się pomimo to do niej, więc zaczęła mu opowiadać wrażenia.

— Wolscy są straszni. Gdym tam weszła i poznała cały komplet, zdawało mi się, że jestem na jesieni w pasiece, kiedy każda pszczoła gotowa ciąć żądłem. Brr... jak ja się ich boję!

Pani Markham wciągnęła mnie do towarzystwa Świętego Salezego. Mówiła mi, że i ojciec jest członkiem.

— Może być. Ciągle mi każą płacić i wszędzie moje pieniądze są mile widziane.

Machnął ręką.

— Udają, że coś robią i chcą być w Kuryerku wydrukowane. Markhamowej nie można odmówić.

Wrócili do domu.

Andrzej na obiad się nie ukazał, na wieczór prezes miał winta.

Kazia została sama.

Odczytała tego dnia otrzymany list od ojca:

„Moja jedyna pociecho! Dzięki ci za dobre wieści. Wszystkie moje troski są niczem, wobec myśli, że tobie może być źle, a żadna pomyślność nie zastąpi mi spokojnej pewności, żeś szczęśliwa i z losu zadowolona. Takem się trwożył, czy nie przebolejesz rozstania z wsią i dotychczasowem zajęciem. No dzięki Bogu, dobrze ci, niem zawiodłem się na Sanickich. Cóż ci donieść! Babcia Bogucka trochę niedomaga, byłem u niej onegdaj, dopytuje się o ciebie i tęskni. Nie wesołą ma starość, o Janku ani słychu, jeśli nie umarł, to źle o nim świadczy. Krótko mówiąc, przepadł! U nas żniwa skończone, lokomobile już dymią przy stertach, świetna pogoda sprzyja. Brak mi ciebie na każdym kroku, ano co się stało, stać się musiało! Zdaje mi się, że wpadnę temi czasy

do was, zobaczyć ciebie na własnem gospodarstwie i ucieszyć się twem szczęściem naocznie. Tymczasem całuję cię i błogosławię, dziecko kochane!"

Przeczytała i opuściwszy ręce i papier na kolana, zadumała się, patrząc w próżnię.

A próżnia ta wypełniła się szerokiem morzem ściernisk złotych, gajów żółknących i przestrzenią bladego jesiennego błękitu.

Powietrze pełne było zapachu świeżo ruszonej pługiem roli, i echa od dudnienia wozów i parskania koni, i piosenki, którą nucił Stacho Skowronek wracający „do dom". Szczęśliwy Stacho mógł wrócić.

Porwała ją taka tęsknota, żal, ból fizyczny prawie, że się wzdrygnęła, przycisnęła ręce do piersi i zgryzła usta, by nie jęknąć.

Goryczy, wstrętu, nudy, pełna była po brzegi dusza.

— Nie wytrzymam! — szepnęła rozpacznie.

Wzrok jej padł na list, i po chwili poczęły na papier padać gorące łzy.

Musiała wytrzymać.

V.

Ocieska leżała na otomanie w swym saloniku obok pracowni i czytała.

Była to osoba ni młoda ni stara, ni brzydka, ni ładna, wysoka, szczupła, ubrana niedbale, z twarzą zmiętą, bardzo charakterystyczną, do której przyrosł grymas sarkazmu.

W bluzie roboczej, jak odeszła od stalug, odpoczywała, czytając i dozorując zarazem spirytusowej maszynki do kawy.

Zachodzące słońce oświetlało salonik, a szczególnie padało całą masą purpury na portret Rozy Bonheur, zdobiący przeciwległą ścianę.

Oprócz tego portretu wzdłuż innych ścian, wił się cykl obrazów, kopie średniowiecznego Tańca Śmierci.

Zresztą umeblowanie pokoju stanowiły przeważnie książki.

Pełno ich było po stołach, szafach, półkach, nawet na podłodze.

Przez uchylone drzwi widać było pracownię i jakąś podmalówkę na stalugach.

Syczenie kawy w maszynce oderwało uwagę Ocieskiej od książki.

Zdmuchnęła płomień

W tej chwili ktoś do drzwi zapukał i nie czekając pozwolenia, ukazał się w progu Radlicz.

— „Sąsiadko witaj! Co mi świat!" — zanucił wchodząc.

Ocieska coś zamruczała nie przerywając czytania.

— Przyszedłem do kolegi, a raczej do jego biblioteki! — mówił niezrażony lub nawykły do jej humoru, rozglądając się po książkach. Czy dostanę na dni parę Szekspira?

— Mam, ale nie dam! — odparła lakonicznie.

— Bo!

— Bo dałam Zarębie kiedyś i musiałam potem wykupić na licytacyi jego gratów.

— Klnę się na prochy Giotta, że pierwszy mój termin wekslowy jest na Szymona i Judę męczenników, a Szekspira oddam pojutrze, t. j. piętnastego września. No? co? dostanę?

Ocieska żachnęła się niecierpliwie.

— Zawracanie głowy. Tak panu idzie o Szekspira, jak o wczorajszego Kuryerka. Heraus, poco pan przyszedł?

— Zaraz poco? Tak sobie. Śnił mi się dziś „Sen nocy letniej". Muszę go sobie przypomnieć.

— Śliczny sen. Że pan jest tkaczem Pyramem, wiadomo, któraż z nadobnych warszawianek była ostatnią Tytanią?

— Hm — mogę tu popełnić niedyskrecyę. Tytanią była pani!

(Ciąg dalszy nastąpi).

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Teraz już mnie nic nie kaleczy — spokojnie odpowiedziała.

I szła dalej nie wydawszy najmniejszej nawet skargi, chociaż po nad brwiami jej widziano krwią zaszły ślad zetknięcia się z żelazną kratą.

Wkrótce spostrzeżono krzesło nadzorcy, zbyt godne poszanowania w oczach więźni, gdyż nadzorca więzienia jest rozdawcą łask, a dla więźnia wszelka łaska jakże wielką ma wagę! jakże często ponure jego niebo zmienia się w jaśniejszy firmament.

Nadzorca Ryszard, przekonany, o swej powadze i wysokiem znaczeniu, mimo łoskotu wrzeciądzów, mimo turkotu powozu, zapowiadającego przybycie nowego gościa, nie podniósł się, ale zażył tabaki, spojrzał na uwięzioną, otworzył wielce zatłuszczoną księgę, poszukał pióra i małego kałamarza drewnianego, w którym spleśniały po brzegach atrament, już tylko trochę błotnistej wilgoci dostarczał, niby krater wulkanu w którego głębi pozostaje zawsze nieco topniejącej materyi.

— Obywatelu nadzorco — rzekł przywódca eskorty — zrób tam na nas rubrykę, ale spiesz się, bo gmina nas oczekuje.

— O! zaraz, zaraz, to niedługo potrwa — odrzekł odźwierny wlewając do kałamarza kilka kropel wina ze stojącej obok szklanki — już to moja ręka do tego wprawna dzięki Bogu! Twoje imiona i nazwiska obywatelko?

I umoczywszy pióro w improwizowanym kałamarzu, zabrał się do zapisania nowoprzybyłej w rubryce już prawie zapełnionej innemi nazwiskami. Tymczasem obywatelka Ryszard, kobieta dosyć miłego wejrzenia, stojąc za krzesłem jego, z podziwieniem prawie pełnem poszanowania, przypatrywała się tej kobiecie, zarazem tyle oświeconej ile szlachetnej i dumnej, którą mąż jej wybadywał.

— Marya - Antonina - Joanna - Józefa de Lorraine, arcy-księżna austryacka, królowa Francyi! — odpowiedziała uwięziona.

— Królowa Francyi! — powtórzył zdziwiony nadzorca, podnosząc się nieco z swego krzesła.

— Tak jest, królowa Francyi — tymże samym tonem powtórzyła uwięziona.

— Inaczej zwana wdową Kapet — dodał przywódca eskorty.

— Pod którem więc z tych dwóch nazwisk mam ją zapisać? — spytał nadzorca.

— Pod którem sam zechcesz, byle prędko — odpowiedział przywódca.

Nadzorca padł znowu na swe krzesło i drżącą ręką zaciągnął do rejestru nazwiska, imiona i tytuł jaki mu podyktowała uwięziona; napis ten i dziś jeszcze jakby krwią nakreślony widzieć można w owej księdze, której najdroższe karty pogryzły szczury rewolucyjnego Conciergerie.

Żona Ryszarda stała ciągle za krzesłem męża; ale powodowana uczuciem religijnego politowania, na krzyż złożyła ręce.

— Wiek twój? — pytał znowu nadzorca.

— Trzydzieści siedm lat i dziewięć miesięcy — odpowiedziała królowa.

Ryszard zapisał, wyszczególnił cały rysopis a ukończywszy swe dzieło, rzekł:

— Dobrze, już koniec.

— Gdzie mamy zaprowadzić uwięzioną? — spytał przywódca eskorty.

Ryszard znowu zażył tabaki i spojrzał na swą małżonkę.

— Do licha! — rzekła zagadnięta — nie uprzedzono nas, nie wiemy więc, co czynić.

— Pomyśl-no! — powiedział brygadyer.

— Jest wprawdzie izba narad — mówiła znowu żona nadzorcy.

— Hum! ale za obszerna — mruknął Ryszard.

— Tem lepiej że obszerna, będzie gdzie pomieścić straż.

— Zgoda i na izbę narad, ale w tej chwili nie jest mieszkalna, bo nie ma w niej łóżka — rzekł Ryszard.

— Prawda — odpowiedziała jego żona — zapomniałam o tem.

— Ba! — wtrącił jeden żandarm — to jutro wniesiecie łóżko, przecież do jutra już niedaleko.

— Wreszcie mój mężu, obywatelka dzisiaj w naszym pokoju przenocować może? — pytając rzekła Ryszardowa.

— A my gdzież się podziejemy? — odparł nadzorca.

— My nie będziemy spali; wszakże obywatel żandarm utrzymuje, że noc wkrótce przeminie.

— No — rzekł Ryszard — to zaprowadźcie obywatelkę do mego pokoju.

— Tymczasem przygotujesz nam pokwitowanie z odbioru, nieprawdaż?

— Za powrotem znajdziecie je gotowem.

Ryszardowa wzięła świecę ze stołu i poszła naprzód.

Marya-Antonina postępowała za nią milcząca, spokojna i blada jak zwykle; dwaj ceklarze, na których Ryszardowa skinęła, zamykali orszak. Pokazano królowej łoże, które Ryszardowa spiesznie zasłała białą pościelą. Ceklarze stanęli we drzwiach nakoniec drzwi te zamknięto na dwie zasuwy i Marya-Antonina znalazła się samą.

Nikt nie wie, jak noc przepędziła, bo ją przepędziła tylko z Bogiem.

Nazajutrz dopiero przeprowadzono królowę do izby narad, z której drzwi wychodziły na korytarz i w podłuż niej ustawiono przepierzenie nie dotykające sufitu.

Po jednej jego stronie mieściła się straż; drugą zaś zajmowała królowa.

Każdą z tych dwóch celek oświetlało okno gęstą kratą żelazną opatrzone.

Parawan ustawiony przy drzwiach oddzielał królowę od jej strażników i zakrywał środkowe wejście. Cała ta izba miała granitową posadzkę.

Nakoniec na ścianach wisiały jeszcze resztki papierowego obicia, ujętego niegdyś w złocone drewniane ramy.

Łóżko ustawione naprzeciw okna i krzesło przy temże oknie, stanowiły całe umeblowanie królewskiego więzienia.

Wchodząc tam królowa, zażądała, aby przyniesiono jej książki i robotę.

Przyniesiono więc „Rewolucye Anglii“, które czytać zaczęła w Temple, „Podróże młodego Anacharsysa“ i krosienka.

Żandarmi również zajęli sąsiednią celkę; historya przechowała nam ich nazwiska, jak wszelkie nazwiska najniższych nawet istot, które fatalność zespoliła z wielkimi wypadkami, a o które odbija się ułomek światła, jakie ciska piorun, już to krusząc trony, już samych nawet królów.

Nazywali się Dufresne i Gilbert.

Gmina znając patryotyzm tych dwóch ludzi, powierzyła im nieustanny nadzór nad Maryą-Antoniną, aż do jej osądzenia; spodziewając się, że zaradzi tym sposobem wszelkiemu nieporządkowi, prawie nieuniknionemu w służbie kilka razy na dzień zmienianej, wkładając na tych strażników straszną odpowiedzialność.

Tego samego jeszcze dnia, rozmowa wspomnianych dwóch ludzi zawiadomiła królowę o tym środku, wszystko bowiem co między sobą mówili dochodziło jej uszu, a nie widzieli potrzeby zniżenia głosu.

Ucieszyło ją to wprawdzie bardzo, ale zarazem i zasmuciło, jeżeli bowiem z jednej strony uważała, że ci ludzie muszą być bardzo pewni, kiedy ich między tylu innymi wybrano, to znowu z drugiej przypuszczała, że przyjaciele jej znajdą łatwiej sposób zepsucia dwóch strażników znanych i nieustannych, aniżeli stu ludzi rozmaitych i przemieniających się koło niej niespodzianie i codziennie.

Pierwszej nocy, nim się udała na spoczynek, jeden żandarm palił fajkę według swego zwyczaju; odór tytoniu wcisnął się przez otwory przepierzenia i obległ nieszczęśliwą królowę, która właśnie przez swe położenie zamiast stępić w sobie wszelką drażliwość tem silniej owszem jej uległa.

Wkrótce uczuła, że odór ten działać zaczyna na jej mózg i sprowadza ociężałość i duszność; ale wierna raz przyjętemu systemowi nieposkromionej dumy, nie użalała się bynajmniej.

Podczas więc, gdy tak boleśnie czuwała i gdy nic nie zakłócało nocnej ciszy, zdało się jej, że na dworze słyszy jakieś wycie smutne i długotrwałe; było to coś tak złowrogiego i przenikającego jak wiatr przebiegający po pustych kurytarzach, kiedy burza, przybierając głos ludzki, dodaje życia namiętnościom żywiołów.

Wkrótce poznała, że ten hałas, który w niej zrazu budził drżenie, że ten krzyk bolesny i nieustający, był tylko żałosnem wyciem psa skomlącego na wybrzeżu. Natychmiast stanął jej na myśl biedny Black, o którym zapomniała w chwili, gdy ją porwano z Temple, a którego głos teraz zdawała się poznawać, w rzeczy samej, biedne to zwierzę, które przez zbytek czujności zgubiło swą panią, niepostrzeżone zbiegło za nią, zdążało za powozem aż do wrót Conciergerie i tam dla tego tylko oddaliło się, że podwójne żelazne wrota, za-

mykając się za królową tylko, co go na dwoje nieledwie przecięły.

Ale wkrótce biedne zwierzę znowu wróciło, a czując, że panią jego zamknięto w tym wielkim kamiennym grobie, wyjąc, wzywało jej i siadłszy o dziesięć kroków od placówki, czekało na pieszczotliwą odpowiedź.

Królowa odpowiedziała westchnieniem, które obudziło słuch jej strażników.

Ale że w pokoju Maryi-Antoniny po westchnieniu tem nie nastąpił żaden szmer, strażnicy więc uspokoili się i znowu drzemać zaczęli.

Nazajutrz o świcie królowa wstała i ubrała się. Światło wpadające przez zakratowane okno, przy którem siedziała, niebieskim promieniem objęło jej wychudłe ręce; na pozór czytała, ale myślą daleko błądziła.

Żandarm Gilbert odsunął parawan i milcząc, spojrzał na nią; Marya-Antonina usłyszała jak skrzypnął ów sprzęt posunięty po podłodze, ale nie podniosła głowy.

Siedziała w sposób, że żandarmi mogli widzieć zupełnie jej głowę porannem światłem oblaną.

Żandarm Gilbert dał znak swemu koledze, aby spojrzał wraz z nim przez otwór.

Dufresne zbliżył się.

— Patrz-no — rzekł Gilbert po cichu — jaka ona blada; aż strach, te czerwone oczy świadczą, że chora, można powiedzieć, że płakała.

— Wiesz dobrze — odpowiedział Dufresne — że wdowa Kapet, nigdy nie płacze; ona na to za nadto dumna.

— No, to chyba chora — mówił znowu Gilbert i podnosząc głos, dodał:

— Słuchaj-no obywatelko Kapet — spytał — czyś nie chora?

Królowa zwolna podniosła oczy, a jasne i badawcze spojrzenie jej padło na obu tych ludzi.

— Czy panowie do mnie mówicie? — spytała pełnym słodyczy głosem, bo sądziła, że dostrzega jakieś współczucie w mowie tego, który ją zagadnął.

— Tak jest obywatelko, do ciebie — zaczął znowu Gilbert — pytamy cię, czyś nie chora?

— A to dla czego?

— Dla tego, że masz bardzo czerwone oczy

— I żeś bardzo blada — dodał Dufresne.

— Dziękuję, moi panowie. Nie, jam nie chora, ale mocno cierpiałam dzisiejszej nocy.

— Ah! tak, prawda, masz troski.

— Nie, panowie, troski są zawsze te same, religia nauczyła mię składać je u stóp krzyża, dla tego też one mię nie czynią bardziej cierpiącą dzisiaj niż wczoraj; ale, jestem chora, bom nie spała dzisiejszej nocy.

— Ah! zapewne dla tego, że w nowem mieszkaniu, na nowem łóżku — rzekł Dufresne.

— Co większa, że w niekoniecznie pięknem mieszkaniu — dodał Gilbert.

— I to nie, moi panowie — rzekła królowa, zwieszając głowę. — Mieszkanie moje brzydkie czy piękne jest mi zupełnie obojętne.

— No, to dla czegożeś chora?

— Dla czego?

— A tak.

— Przepraszam, że to panom wyznać muszę; ale ta woń tytuniu, którą i teraz jeszcze czuć od pana, bardzo mi dokucza.

W rzeczy samej, Gilbert palił fajkę, co zresztą stanowiło jego zwyczajne zatrudnienie.

— Ah! mój Boże — zawołał zmięszany łagodną mową królowej.

— Czemużeś prędzej nie powiedziała tego obywatelko?

— Ponieważ nie sądziłam, abym miała prawo kłopotania pana w jego przyzwyczajeniach.

— O! dobrze, dobrze, to ja ci przynajmniej dokuczać przestanę — rzekł Gilbert — rozbijając fajkę o podłogę; bo już ci odtąd dymić nie będę.

A odwróciwszy się, odprowadził swego kolegę i zamknął parawan.

— Być może, iż utną jej głowę, ale w tem sprawa narodu; lecz pocóż jej dokuczać, tej biednej kobiecie? Jesteśmy przecież żołnierzami, nie zaś katami jak Simon.

— Ty nieco po arystokratycznemu postępujesz, kolego — rzekł Dufresne potrząsając głową.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Niniejszy numer jest przedostatnim w bieżącym kwartale. Kto niechce doznać przerwy w odbiorze numerów, niech jak najrychlej odnowi przedpłatę.

Conan Doyle.

Przygody brygadyera Gerarda.

Powieść z czasów napoleońskich.

W kawiarni siedział stary brygadyer i opowiadał historyjki z czasów swej młodości.

— Widziałem tyle miast, ile mam włosów na głowie, panowie. Do wielu z nich wjechałem jako zwycięzca na czele ośmiuset mych dzielnych jeźdźców. Na czele Wielkiej Armii znajdowała się zawsze kawalerya, na czele kawaleryi znajdowali się zawsze huzarzy, a na czele huzarów byłem ja!

Ale ze wszystkich miast, które odwiedziliśmy, najkorzystniejsze i najśmieszniejsze położenie posiada Wenecya. Nie mogę sobie wyobrazić, jak założyciele tego miasta mogli sobie pomyśleć manewry jazdy! Nawet sam Murat lub Lasalle nie umieliby tutaj pomieścić ani jednego szwadronu!

Dlatego też pozostawiliśmy ciężką jazdę Kellermanna i naszych huzarów na naszych kwaterach w Padwie. Załogą w mieście stanęła tylko piechota Sucheta. Ten generał wybrał mnie na adjutanta na tę zimę, ponieważ zaimponowała mu moja przygoda z szermierzem w Medyolanie. Doskonale bestya machał, a całem szczęściem dla armii francuskiej było, że mnie przeciwstawiano jemu.

Zresztą dobrze mu się stało, gdyż jeżeli komuś nie podoba się głos jakiejś śpiewaczki, wolno mu go przecież nie słuchać; ale obrazić piękną kobietę publicznie, to pewnie wstyd i hańba, za którą odpokutować należy.

Wszelkie sympatye były więc po mojej stronie, a gdy się ta historya skończyła i wdowie po nieboszczyku przyznano należną jej pensyę, wybrał mnie Suchet na swego osobistego adjutanta.

Udałem się z nim do Wenecyi, gdzie mnie spotkała właśnie ta szczególna przygoda, o której wam zaraz opowiem, panowie.

Chyba żaden z was nie był jeszcze w Wenecyi? Nie, gdyż Francuzi podróżują rzadko po świecie. Ale w owych czasach byliśmy podróżnikami całą gębą! Podróżowaliśmy od Moskwy aż do Kairu coprawda w większych kompanjach, niż to ludziom mogło być przyjemnem, a naszymi paszportami i biletami wizytowemi były armaty.

Mówię wam, że nastaną dla Europy znowu bardzo kiepskie czasy, gdyż Francuzi wybiorą się w podróż; opuszczają oni swoją ojczyznę bardzo niechętnie, ale skoro raz już powzięli to postanowienie, bardzo dla nich ciężkie, a będą mieli takiego przewodnika, jak nasz mały kapral, który im wskaże jedynie możliwą drogę, wtedy nikt nie będzie mógł wiedzieć, kiedy zawrócą z powrotem do domu.

Ale te sławne czasy niestety już minęły. Wielkich ludzi już niema, a ja, ostatni z nich, muszę tutaj siedzieć przy butelce podłego wina krajowego i ograniczać się na opowiadaniu wam anegdotek z dawnych czasów, gdy nami przewodził mały kapral.

Ale prawda, miałem wam opowiadać o Wenecyi, panowie.

Ludzie żyją tam tak, jak wodne szczury na jakichś wydmach, czy licho wie na czem. Posiadają bardzo ładne pałace i kościoły, zwłaszcza św. Marka; największy to z nich, jaki kiedykolwiek widziałem w życiu. Największą ich dumą są jednak posągi i obrazy, słynne w całej Europie.

Wielu jest żołnierzy, którzy sądzą, iż wojownik może się rozumieć tylko na walce i na plądrowaniu.

Do nich należał naprzykład stary Bouvet, który padł w walce z Prusakami w tym samym dniu, w którym ja dostałem medal cesarski. Gdy przyszło wyprowadzić go z obozu lub kantyny i rozmawiać z nim o sztuce lub wiedzy, siedział, jak prawdziwy baran.

Najwyżej w moich oczach stoi ten żołnierz, który umie jak ja ocenić należycie wytwory ducha i umysłu.

Do armii wstąpiłem coprawda także za młodu, a wachmistrz był jedynym moim nauczycielem, ale szedłem przez świat z otwartemi oczyma. W ten sposób można się i musi się wiele nauczyć.

Dlatego też mogłem i umiałem podziwiać w Wenecyi obrazy, znałem nazwiska tych wielkich mistrzów, którzy je malowali; Michała Tycyana i Angela i innych bardzo wielu.

I Napoleon podziwiał ich utwory, a znał się na tem doskonale, co mi każdy przyznać musi, gdyż pierwszą jego czynnością po zajęciu miasta było, iż najlepsze obrazy wysłał do Paryża.

My wszyscy braliśmy, co się dało i co dostać było można. Ja wziąłem tylko dwa obrazy. Jeden z nich, „Zaskoczone nimfy“, zatrzymałem dla siebie, z drugiego zaś, „Św. Barbara“, zrobiłem podarunek mej matce.

Zresztą prawdą jest, iż niektórzy z naszych ludzi pod względem posągów i obrazów nie zachowywali się przystojnie.

Wenecyanie byli bardzo do tych rzeczy przywiązani, a te cztery konie bronzowe nad głównym portykiem swej katedry kochali jak swoje rodzone dzieci.

Ja znałem się doskonale na koniach i przyglądałem się tym czterem z wielką uwagą; naprawdę, wiele one nie były warte. Były za nadto kościste dla lekkiej jazdy, a przed armaty brakowało im należytej wagi. Były to jednak jedyne konie, które się znajdowały w mieście, mieszkańcy lepszych nie widzieli. Płakali gorzko gdy ich wysyłano, a następnej nocy zwłoki dziesięciu żołnierzy francuskich pływały sobie w kanałach.

Za karę za to morderstwo wysłano jeszcze więcej obrazów, a żołnierze niszczyli posągi i strzelali do pięknie namalowanych szyb.

To doprowadziło mieszkańców do wściekłości, a nasz pobyt w mieście nie stał się bardzo przyjemnym. Wielu oficerów i żołnierzy przepadło gdzieś tej zimy, a nie można było nawet odnaleźć ich zwłok.

Ja osobiście miałem bardzo wiele do czynienia i wskutek tego nie tak znowu bardzo cierpiałem.

W każdym kraju uczyłem się najpierw jego języka. W tym celu wyszukiwałem sobie zawsze jakąś damulkę uprzejmą, którąby mnie chciała uczyć, a potem ćwiczyliśmy wspólnie praktycznie. Jestto najwięcej zajmująca metoda uczenia się, nie doszedłem jeszcze do trzydziestki, a znałem już wszystkie języki Europy.

Coprawda to to, czego się człowiek w ten sposób nauczy, nie posiada wielkiej wartości w życiu powszedniem. Co to za korzyść dla takiego, jak ja, który ma do czynienia z żołnierzami i chłopami, gdy im może tylko powiedzieć: „Kocham cię jedyną na świecie“!, a po wojnie: „Powrócę z pewnością!“?

Nie miałem nigdy w swojem życiu tak przyjemnej nauczycielki, jak w Wenecyi. Na imię jej było Łucya, a nazywała się... no, do dyabła, prawdziwy żołnierz nie powinien nigdy pamiętać nazwisk!

Nie chcę być niedyskretnym, panowie, ale powiem wam, że należała do starej patrycyuszowskiej rodziny, a jej ojciec był dożą Wenecyi.

Powiadam wam, była to wyszukana piękność — skoro ja, brygadyer małego kaprala, powiadam wam, że była, to nią musiała być! To coś znaczy, moi panowie!

Mam swój własny sąd, posiadam doskonałą pamięć, a prócz tego zmysł porównawczy, którego nikt w świecie posiadać nie może!

Ze wszystkich kobiet, które mnie kochały, nawet dwudziestu nie mogę przyznać tej zalety!

Ale powtarzam wam, moi panowie, Łucya była wyszukanie piękną! Ze względu na jej smagłą cere mógłbym ją porównać tylko z ową Dolores z Toledo.

Gdy walczyłem pod Masséną w Portugalii, kochałem w Santarem małą brunetkę... nazwiska, jak zwykle nie pamiętam.

Była ona także skończoną pięknością, ale nie posiadała przecież tego wdzięku i tych skończonych kształtów, co Łucya.

Była także jeszcze Agnieszka... nie wiem doprawdy, której przyznać palmę pierwszeństwa... ale Łucya była z nich najwspanialszą! Może kto nie wierzy?

Podczas tej sprawy z obrazami spotkałem ją po raz pierwszy.

Ojciec jej posiadał pałac po drugiej stronie mostu Rialto nad Canale grande; na murach tej wspaniałej budowli znajdowały się tak przepyszne rzeźby, że Suchet wysłał cały oddział saperów, aby je zdjąć i wysłać do Paryża.

Stałem na czele tych ludzi, a gdy spostrzegłem łzy tej pięknej Łucyi, nabrałem przekonania, że te rzeźby się rozkruszą, skoro im się odbierze podporę. Zaraportowałem to i saperów ściągnięto.

Wskutek tego stałem się przyjacielem rodziny, wypiłem z ojcem nie jedną buteleczkę Chianti, a dwa razy tylko z jego córeczką podczas lekcyi języka.

Wielu oficerów francuskich pożeniło się tej zimy w Wenecyi, i ja byłbym postąpił tak samo, gdyż kochałem Łucyę z całej duszy...

Ale cóż... ja, brygadyer małego kaprala, posiadałem tylko pałasz, konia, pułk, matkę, cesarza i laskę marszałkowską w tornistrze! Huzar posiada coprawda dość miejsca w sercu dla kochanki, ale nie dla żony!

Myślałem tak wtedy, panowie, nie wiedząc także, iż przyjdą kiedyś na mnie samotne chwile, gdy będę tęsknił za jakąś życzliwą mi, a kochającą ręką, której będę musiał zazdrościć towarzyszom broni, znajdującym się w kole rodzinnem. Może nieprawda?

Ta miłość, którą uważałem za żart i igraszkę, ta miłość — teraz dopiero to widzę — nadaje życiu prawdziwą treść. Jestto coś najuroczystszego i najświętszego na ziemi!...

Dzięki, panowie, dzięki...

Wino jest dobre, a druga butelczyna wcaleby nie zawadziła.

A teraz opowiem wam panowie, ile była winną miłość moja do Łucyi w najstraszniejszej z moich przygód, które kiedykolwiek przebyłem w życiu. A gdzie się podział kawałek mego prawego ucha? Cóż?

Już nieraz chcieliście się dowiedzieć, gdzie on się podział, ale dziś wieczorem nareszcie się dowiecie panowie.

Suchet miał wtedy swą główną kwaterę w pałacu doży Dandolo w pobliżu placu św. Marka. Było to pod koniec zimy, a ja poszedłem do teatru Godini. Po powrocie znalazłem bilet od Łucyi, a na kanale czekała na mnie gondola. Prosiła mnie, abym natychmiast do niej przybył, ponieważ znajduje się w ciężkiej potrzebie.

Dla Francuza i żołnierza odpowiedź nie mogła być trudną.

Za chwilę znalazłem się w łodzi, która też natychmiast odpłynęła w jakiś ciemny kanał. Pamiętam jeszcze, iż uderzyła mnie przy wsiadaniu niezwykle barczysta postać gondoliera. Był to najbarczystszy człowiek, jakiego widziałem w mem życiu. Ale ci gondolierzy w Wenecyi to są wogóle silni ludzie, a siłaczów między nimi nie brak. Otóż ów siłacz zajął miejsce za mną i zaczął wiosłować całą siłą.

Dobry żołnierz w kraju nieprzyjacielskim powinien mieć się zawsze na baczności. Było to zawsze przykazaniem mojego życia, i tylko temu zawdzięczam, iż na moje stare lata jeszcze żyję.

Ale tej nocy byłem jeszcze tak głupi i tak wesoły, jak najmłodszy z rekrutów, który obawia się tego, iż mogą uważać go za tchórza.

Pistolet w pospiechu zostawiłem w domu. Pałasz miałem wprawdzie przy boku, ale to nie w każdym wypadku pewna broń.

Rozparłem się w mojej gondoli, marząc wśród szmeru wód i pluskotania wioseł.

Droga prowadziła przez wąską sieć kanałów, po obu stronach wznosiły się wysokie domy, nad nami widać było tylko mały skrawek gwiazdami usłanego nieba. Tu i owdzie przy mostach lampa olejna rozsiewała swoje mdłe światło, niekiedy widać było świeczkę, palącą się przed jakimś świętym obrazem. Zresztą wszędzie było ciemno, a mogłem dostrzedz tylko pianę, powstałą wskutek prucia fal przez czub gondoli.

Miejsce i czas były jakby stworzone do marzeń...

Zacząłem myśleć o przeszłości, o wszystkich wielkich czynach, w których brałem udział, o koniach, na których jeździłem, o kobietach, które kochałem i które mnie kochały. Potem myśli moje zabiegły aż do mej drogiej matuli; wystawiałem sobie tę radość, którą jej sprawię, gdy ludzie we wsi będą opowiadali o bohaterskich czynach jej syna, o jego sławie.

Myślałem także o cesarzu i o Francyi, ojczyźnie tak pięknych cór i tak dzielnych synów!

Serce mi silniej zabiło na myśl, jaki przyrost w ziemi przyniesiemy tej naszej ojczyźnie... Jej wielkości chciałem poświęcić całe moje życie, panowie! Niech żyje Francya! Niech żyje cesarz!

Położyłem rękę na sercu, aby wykonać przysięgę, ale w tej chwili napadł na mnie z tyłu gondolier.

Jeżeli powiadam, iż mnie napadł, to nie powiem, aby mnie zaatakował, ale że całym swoim ciężarem rzucił się na mnie.

Taki drab stoi z tyłu i nad kimś, gdy wiosłuje, tak, że nie można go widzieć, ani też obronić się przed takiego rodzaju napaścią. Przed chwilą siedziałem jeszcze z wysoko podniesionem czołem, a po chwili leżałem jak długi na spodzie łodzi, ten potwór leżał na mnie, tak, iż traciłem już oddech. Na karku czułem jego gorący oddech.

W mgnieniu oka wyrwał mi pałasz, na głowę wpakował mi worek i przywiązał go silnie sznurem.

Leżałem więc na spodzie gondoli, schwytany, jak śpiewający ptaszek, którego chcą wsadzić do klatki.

Nie mogłem krzyczeć, nie mogłem się poruszać, byłem jakimś tłumokiem.

Po chwili usłyszałem znowu szmer wody i pluskanie wiosła. Gondolier skończył swoją robotę i jechał dalej tak spokojnie i niewzruszenie, jakby był przyzwyczajony do tego, iż co dnia jakiegoś pułkownika huzarów wiezie w worku!

Nie mogę wam, panowie wypowiedzieć słowami, jakie odczuwałem upokorzenie i jaka mną ogarnęła wściekłość, przekonawszy się, iż leżę

skrępowany jak baran, którego wiozą na rzeź! Ja, brygadyer małego kaprala, najlepszy jeździec z sześciu brygad, najlepszy szermierz Wielkiej Armii, schwytany w tak haniebny sposób przez niezbrojnego człowieka!

Mimo to leżałem spokojnie, jest bowiem chwila oporu, ale jest także chwila, w której należy szanować swoje siły. Poczułem, jak mnie ta bestya chwyciła za ramię, i wiedziałem, że wobec niego byłem tylko dzieckiem. I to dzieckiem w powijaku!

Czekałem zatem z bijącem sercem sposobności, która przecież nadarzyć mi się była powinna! Tak panowie!

Jak długo tam leżałem, sam już nie wiem, ale wydawało mi się to bardzo długo, a słyszałem tylko szmer wody i pluskanie wioseł.

Skręcaliśmy niezliczone razy, gdyż moich uszu dochodził żałosny ton gondolierów, który wydają z siebie, chcąc swoich ostrzedz o swem zbliżaniu się.

Po długiej podróży zauważyłem nareszcie, iż przybyliśmy do lądu.

Mój drab puknął trzy razy wiosłem w jakąś drewnianą ścianę, a w odpowiedzi na to usłyszałem odmykanie się zasów, otwieranie zamków, a potem skrzypnięcie zawias bramy.

— Masz go? — zapytał jakiś głos po włosku.

Potwór, który miał mnie w swojej mocy, roześmiał się głośno i nogą kopnął worek, w którym byłem zaszyty.

— Tam jest — odparł.

— Już czekają.

— Weźcie go — rzekł mój rabuś.

Podniósł mnie, wstąpił na kilka schodów i rzucił mnie na bardzo twardą podłogę, aż mi wszystkie kości zatrzeszczały. Następnie zawarto i zamknięto bramę.

Byłem zatem więźniem w tym domu.

Po zamęcie, jaki po mojem przybyciu powstał, poznałem, że musi się dokoła mnie znajdować porządna kupa ludzi. Rozumiem daleko lepiej po włosku, niż mówić umiem, to też pojąłem doskonale, o czem mówią.

— Przecie go nie zabiłeś Matteo?

— A cóżby to szkodziło, gdybym był tak uczynił?

— Na Boga, byłbyś musiał odpowiadać za to przed trybunałem!

— Przecie chcą go zabić, prawda?

— To prawda, ale przecież nie jest naszą rzeczą psuć komuś interes!

— Bądźcie spokojni, żyje. Umarli nie gryzą, a ja poczułem doskonale jego zębiska na mojej ręce, gdy mu zarzucałem worek na głowę.

— Ależ on leży bardzo spokojnie.

— Otwórzcie worek, to się najlepiej przekonacie czy jeszcze żyje.

Rozluźniono sznur i zdjęto ze mnie worek. Leżałem z zamkniętemi oczyma nieruchomo na ziemi.

— Dla Boga, Matteo, skręciłeś mu kark!

— Ale gdzie tam! Omdlał tylko. Lepiej dla niego, gdy już nie wróci do przytomności.

Czułem że się ktoś dobiera do mnie.

— Matteo ma słuszność — odezwał się jakiś głos. — Serce mu wali jak młotem. Dajcie mu spokój, zaraz przyjdzie do siebie.

Przeczekałem jeszcze chwilę, a potem odważyłem się unieść powieki.

Z początku nie mogłem widzieć nic, gdyż za długo pozostawałem w ciemnościach, a w obecnem miejscu mego pobytu było też dość ciemno. Wkrótce jednak przekonałem się, iż miałem nad sobą jakieś sklepienie, przyozdobione wyobrażeniami bogów i bogiń.

Nie mogła to być więc jaskinia łotrów, zawleczono mnie raczej do jakichś podziemi weneckiego pałacu.

A potem powoli i ukradkiem rzuciłem okiem na drabów, stojących dokoła mnie. Zauważyłem mojego gondoliera, brunatnego draba, a dalej małego, wątłego człowieka, który miał rozkazującą minę i trzymał w ręku pęk kluczy, a wreszcie dwóch wysokich, młodych lokajów w liberyi. Z ich rozmowy wniosłem, iż ten z kluczami był dozorcą, któremu podlegali wszyscy inni.

Było ich zatem czterech, ale tego słabeusza nie można było liczyć. Gdybym był miał broń przy sobie, śmiałbym się serdecznie z takich przeciwników, ale w walce na pięści nie miałem żadnych szans z jednym, a cóż dopiero z czterema! Musiałem się zatem zdać na głowę, a nie na pięść.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

Armia generała Lincolna, w której się znajdował Pułaski, przeznaczona została do odzyskania twierdzy Savannah w Georgii, którą od ośmiu miesięcy opanowawszy, trzymali Anglicy.

D'Estaing chciał przyczynić się do jej zdobycia. Wypłynąwszy z Cap Français z dwudziestu okrętami i ośmiu fregatami, na wybrzeżach Georgii napadł na kilka statków angielskich. — Z pod Charlestown dano 'znać Lincolnowi o zbliżeniu się floty francuzkiej; pospieszył więc zebrać barki większe i czołna lekkie dla ułatwienia wylądowania francuzom.

Savannah położoną jest na południowym brzegu rzeki tego nazwiska, na dość wysokiem wzgórzu piasczystem. Wzgórza podobne (buffs) i piaski otaczają miasto w prostokąt zbudowane, ciągnące się nad rzeką.

W tym czasie i znacznie później osada składała się prawie z samych drewnianych budowli, opasanych wałami. — Twierdza nawet i jej palisady zbudowane były w większej części z palów yukk, dębów i cedrów, gdyż cegłę musiano sprowadzać z daleka.

Niziny zalane wodą i moczary, na których ryż uprawiano, dzieliły miasto od morza. — Od lądu na równinach czarne lasy iglaste opasywały okolicę, smętne trzęsawiska, pokryte cyprysami, wyżej gąszcze liściastych zarośli splecionych, powiązanych liniami, obfitujących w cuda południowej roślinności... w cedry, dęby, wiązy, klony, magnolie, dzikie pomarańcze, laury i palmy.

Wśród tej okolicy na pół smętnej, wpół rozzielenionej... legły wojska amerykańskie otaczając twierdzę... Przyszły one tu w lecie wśród nieznośnych upałów, gdy skwar w dolinie piasczystej był nie do wytrwania, a trzęsawiska ziały po nocach febrami i gorączką.

Kraj do koła był wyniszczony, plantacye stratowane, ogrody powycinane, pola zbite... ledwie gdzieniegdzie dzikim owocem lub ocalałym patatem zasianym, na pożywienie murzynów... odżywić się było można.

Na stronie zachodniej piasczystego wzgórza znajdowała się twierdza, zajęta przez Anglików.

Dnia 15 sierpnia Lincoln i posiłki francuzkie przyciągnęły do stóp fortecy. W twierdzy dowodził Prévost; na owe czasy była ona dosyć silną. Czując się zagrożonym, miał czas dowodzący wysłać, aby rozproszone po Georgii siły angielskie spiesznie się zgromadziły, wzmocnić usiłował pozycyą, spędził murzynów, sypał szańce i poprawiał blokhauzy.

Zbiegów z plantacyi i indyan, gotowych do posiłkowania Anglikom, zebrano na prędcę do czterech tysięcy, załoga wynosiła ze trzy, tak, że razem siedm tysięcy mając ku obronie Prévost, liczebnie silniejszym był od wojsk amerykańskich i francuzkich.

W pierwszych dniach, gdy nie był jeszcze całkiem osaczony Prévost, przybyłym parlamentarzom, wzywającym go do poddania się, nie odpowiedział stanowczo, prosił o dwadzieścia cztery do namysłu godziny.

Tymczasem resztę ludzi rozproszonych, zdołał do Savanny wprowadzić.

Po upływie rozejmu oświadczył otwarcie, iż poddać się nie myśli i bronić będzie do ostatka.

Musiano więc, przeciwko oczekiwaniu, rozpocząć formalne oblężenie i podkopy.

We wrześniu pracując na skwarze Amerykanie posunęli się o trzysta kroków od szańców angielskich...

Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ KOBIECY.

Dochód z pierza.

Znajoma Francuzka, prowadząca pod Paryżem hodowlę drobiu, mówiła mi, że oprócz znacznych korzyści, osiąganych ze sprzedaży ptactwa już oskubanego i jaj, ma jeszcze niezły dochód z pierza. Zbiera je starannie, oczyszcza i dla zniszczenia wszelkich zarodków, lekko upakowane w workach kładzie na kilka godzin do niezbyt gorącego pieca. Po wyjęciu, pióra wietrzą się i jeszcze raz na godzinę idą do pieca.

Najmniejszą wartość mają pióra kurcząt i kur zwyczajnych, zdatne tylko do wypychania poduszek; za kilogram dostaje się franka. Pióra nakrapiane, pochodzące od rasowych kur hamburskich, Wyandotte, Bentam itd. warte są 2 do 2½ fr. za kilogram; jeszcze wyżej cenione są pióra kogucie. jeden piękny kogut może ich dostarczyć za 3 fr. Najłatwiej sprzedają się pióra białe, gdyż najlepiej przyjmują farbę.

Doskonale opłacają się kury i koguty rasy japońskiej Feniks, a szczególniej białe Jokohama. Hodowla ich nie jest trudna, upierzenie zaś jednego pięknego koguta przynosi od 30 do 35 fr.; trzeba tylko utrzymywać czysto długie pióra jego ogona.

Za pióra gołębie płacą stosownie do wartości od 1 do 10 fr. Z indyków najwyżej ceniony jest puch, znany w handlu pod nazwą *marabutów,* po odpowiedniem przygotowaniu i ufryzowaniu używany do fałszowania piór strusich. Mało kto wie, że śnieżne boa, te powiewne kitki zazwyczaj bardzo kosztowne, pochodzą z pospolitych indyk. Za kilogram czarnego puchu fabryki piór płacą 100 fr., za kilo białego 150; reszta indyczego upierzenia sprzedaje się po 25 fr. za kilo. Szerokie proste pióra zwane *paletami,* sprzedają się na sztuki — od 5 do 10 cent. W okolicach, gdzie hołdują dużo indyków, dwa razy na rok przyjeżdżają specyaliści dla oskubania ich, płacąc 6 do 8 fr. od sztuki.

Największą korzyść przynoszą gęsi. Długie pióra sprzedają się do magazynów na palety; za puch, zwany w handlu łabędzim, płacą około 20 fr. za kilo. Najlepszy jest z żywych ptaków, hodowcy więc podskubują gęsi dwukrotnie: na wiosnę i we wrześniu. Ptaki zabite powinno się skubać zanim ostygną. Gęś daje w ciągu roku około pół kilo puchu. Gęsi tuczone obdziera się ze skóry, za którą można dostać 3 do 4 fr., w samem Poitiers sprzedają rocznie 60,000 takich skór, wysyłanych do Anglii i do Ameryki pod nazwą łabędzich.

Puch kaczy jest prawie tak ceniony jak gęsi 12 fr. dostaje się za kilo. Ptaki powinny być skubane natychmiast po zabiciu, a piękna błyszcząca skóra na szyjkach lub na grzbiecie obdziera się, gdyż można ją sprzedać korzystnie. Łatwo wyprawić ją samemu, trzeba tylko rozciągnąć ją na deseczce, pierzem do dołu, przytwierdzić goździkami i nalawszy odwaru z suszonych i zmielonych liści sumaku garbarskiego, szmatką mocno nacierać skórę, która powinna schnąć w ciepłym miejscu.

Pióra pawie z oczami, pochodzące z samców, osiągają stosownie do piękności 3 do 20 fr. za 100, pióra niebieskie, błękitne i złociste 60 fr. za kilogram, białe są jeszcze droższe. Za całe upierzenie złotego bażanta płaci się 8 do 10 fr., srebrnego od 15 do 25 fr.; naturalnie mowa jest o samcach.

Pióra, których nikt nie chce kupić, można zużywać w domu w następujący sposób: Obciąć je wzdłuż trzonka, wsypać do woreczka z grubego płótna i trzeć w rękach, jak bieliznę w praniu; wszystkie drobne cząsteczki składające pióro oddzielają się, mieszają razem i tworzą rodzaj puchu, którym można wypychać poduszki i pierzynki.

Tak czynią skrzętne gospodynie we Francyi. Warto, żeby nasze panie naśladowały je i starały się wyzyskać to zaniedbane u nas źródło dochodu.

Nakrycie i dekoracya stołu.

Piękne przybranie stołu nie zależy wyłącznie na bogactwie kosztownych sreber, na promiennym blasku mieniących się tęczowo kryształów, na wspaniałej zastawie porcelanowej — gdyż to są warunki nie każdemu dostępne. Właścicielka tych cennych skarbów, niechże poleci przybranie i zastawienie stołu swojej służbie, a ujrzy stół przeciążony nagromadzeniem wszystkiego, jak na wystawie handlowej. Tylko inteligencya, wytworny gust, poczucie estetyczne pani domu, po-

trafi nadać zastawie stołu dużo wdzięku i piękna, które ona jedna umie roztaczać w całym domu, umie przejąć się atmosferą ciepła i wdzięku, zniewalającą każdego, kto wchodzi w jej progi!

Potrzeba tylko zamiłowania, pomysłowości i pracowitych rączek młodej gosposi, aby zebrani goście czuli się zadowoleni, swobodni, weseli, zachwyceni pięknie przybranem stołem i przyjęciem. Przy szerokiem zastosowaniu sztuki w życiu codziennem, przy uprawianiu i rozwoju różnych talentów, można średnim kosztem, a własną pracą ozdobić wnętrze domu, meble, porcelanę, nakrycie! Tak więc można nie obciążając budżetu domowego skromną białą porcelanę byle ładnego kształtu, ozdobić malowaniem ręcznem; obrus z płótna białego, haftem i kratką, ażurową siatką, czy szdełkową robotą, zmienić we wspaniałe nakrycie (wypracowane rączkami pani domu lub córek). A cóż dopiero gdy przyjdą kwiaty rozstawione między różnemi smacznemi rzeczami? Nie potrzebują być drogie, zagraniczne — nawet z naszych łąk, pól i lasów wyjdzie przybranie wpaniałe!

Wiemy to wszyscy, że i w zastawie czy nakryciu, moda narzuca swoje fantazye, ale obecnie jest łaskawą i ułatwia tę trudną przy skromnych zasobach sprawę. Zamiast niezbędnych niegdyś piramid z kryształowemi talerzykami lub kloszami, które stawiano na dwóch końcach, lub na czterech rogach stołu, moda dyktuje podstawy, które mogą być odmienne od garnituru porcelanowego. Są to salaterki kryształowe lub szklane rznięte w pośrodku których wystaje wazonik złączony z salaterką, przeznaczony do umieszczenia zieleni lekko rozsuniętej i ożywionej kwiatami, odpowiedniemi do pory roku i warunków miejscowych. U stóp wazonu na płaskiej salaterce układają się owoce w różnych gatunkach i właśnie ta rozmaitość ich kształtu i barwy ma swój naturalny urok. Która z pań nie posiada takich podstaw, może je zastąpić oddzielną płaską salaterką i wysokim szklannym wazonem; zielony świeży mech zasłoni dół wazonu i posłuży do ułożenia owoców.

Na środku stołu trzeba umieścić wysoką paterę z kloszem kryształowym, albo podstawę z salaterką szklaną, białą lub kolorową, czy z porcelany starożytnej i na niej umieścić owoce wśród podłożonej zieleni, spuszczającej się w leciutkich gałązkach delikatnych i nikłych z dodaniem gdzieniegdzie kwiatów. Owoce ułożone obficie (aby zawsze pozostały jako przybranie) gospodyni domu rozdaje gościom i prosi aby wybierali sobie podług gustu. Wiśnie, poziomki, porzeczki, agrest, truskawki, jako zbyt delikatne do ułożenia w takie *tutti frutti*, podają się w koszyczkach szklanych kolorowych, wyłożonych świeżemi liśćmi; efektowne przyozdobienie stanowi kokarda z wstążki ponsowej lub zielonej, (w braku takowej można użyć pięknej bibułki), przypięta przy pałączku, lub z boku koszyczka. Jeżeli pałączek jest wysoki, można fantazyjne zrzucić przy nim gałązki porzeczek, wiśnie czy truskawki na małych listkach.

Kwiaty zdobią stół, umieszczone płasko w szklannych nizkich podstawkach, lub w braku takowych przypięte na obrusie. Ubranie takie wygląda pięknie, a nie jest bynajmniej drogiem.

T.

Dom i kuchnia.

Pieczeń nadziewana grzybami.

Kilka funtów rozbefu lub zrazowej, zbić, nasolić i na ostrym ogniu obrumienić. Potem wyjąwszy pieczeń, ponakrawać ukośnie lub wzdłuż dosyć głęboko i przełożyć świeżemi grzybami lub pieczarkami, które poszatkowane, pierwej udusić w maśle z cebulą. Tak przygotowaną pieczeń ułożyć na brytfannie, dodać masła, a podlawszy śmietaną, upiec, polewając ją często.

Kotlety z jarzyn.

Do tej potrawy nadają się szczególnie jarzyny mączne, jak, kartofle, marchew, fasola biała, groch i t. p. najlepiej brać kilka jarzyn pozostałych z obiadu, które ugotowane przetrzeć przez sito; na 6—8 kotletów dodać 2 całe jaja i 1 bułkę rozmoczoną w mleku, trochę soli i szczyptę gałki muszkatołowej — poczem formować małe kotlety, które utarzawszy w mące, maczać w jajku rozbitem, obsypać bułeczką i smażyć na maśle. Bardzo delikatne są kotleciki z zielonego groszku przetartego.

Pieczarki faszerowane.

Do nadziewania trzeba wybierać pieczarek największe i mające kształt głębokiej miseczki; obrać je ze skóry, a korzonki odkroić. Oczyszczone korzonki posiekać, dodać cebulę drobno usiekaną, którą zasmarzyć w łyżce masła, dodać koperku zielonego, trochę tartej bułki, trochę soli i pieprzu i jedno jajo surowe.

Farszem tym nadziewać pieczarki, z wierzchu je posypać parmezanem lub serem szwajcarkim, potem bułeczką, polać gorącem masłem i wstawić na patelni do pieca. Jeżeli jest pasztet w domu, to można pieczarki nadziać pasztetem, wstawić do pieca dla zrumienienia, a podając, podlać buljonem. Pieczarki nadziewane podaje się na jarzynę oddzielnie lub jako garnitur do sarny i wołowiny pieczonej.

:: HUMORYSTYKA ::

W sądzie.

Mistrz w wygłaszaniu obron przed sędziami przysięgłymi, przytoczywszy tyle argumentów, że oskarżony o zabójstwo z obrony tej przedstawił się zebranym czysty jak anioł, wystrzelił na ostatek jeszcze taką rakietą:

— Wysoki sąd zechce w końcu przy wyrokowaniu i to wziąć na uwagę, że oskarżony przekroczył tylko jeden paragraf kodeksu karnego, a miał ich pięćset dwadzieścia pięć do przekraczania.

Meyer odwiedza swego syna, który we Lwowie uczęszczał na politechnikę. Ten oprowadzając ojca po stolicy, wywiódł go wreszcie na „wysoki zamek“, aby podziwiał, jaki ładny widok ztamtąd.

— A szlag zoll djech treffen! po co ty mnie tutoj wyprowadzałysz, skoro ja to samo mogłem z dołu wydżecz!

Ona (z wyrzutem): Przed ślubem obiecywałeś czytać każde życzenie z mych oczu i uprzedzać je... A teraz...

On: Ba! żebym to nie miał tak krótkiego wzroku.

Łatwiej niektórym książkę napisać, niż drugim ją przeczytać.

Nasze dzieci.

Ojciec: Ja zwykle sądzę ludzi z pierwszego wrażenia i nigdy się na tem nie zawiodę.

Mały Józio: A jakie wlazienie odniosł tatuś, gdy mnie pielsi laz zobaciul?

Urzędnik sądowy, dowiedziawszy się od żony, że córka dochodzi do lat trzydziestu, powiada:

— Trzeba Cylkę prędko wydać za mąż, inaczej zajdzie zadawnienie.

Jego cień.

Pan A.: (budząc swą żonę w nocy): Ah! oh! miałem znowu widzenie. Zdawało mi się, że osieł kolosalnych rozmiarów chce się do mnie zbliżyć i liże mnie swym chropowatym ozorem...

Pani A.: (ze złością, zniecierpliwiona): Et! dałbyś mi spokój, spałbyś i nie obawiał się własnego cienia!

— Popatrz, tatusiu! to są gąsienice jedwabniki. Nauczyciel powiedział, że to są stworzonka bardzo pożyteczne.

— Głupiec tak powiada. Niech on obejrzy najnowszy rachunek krawcowej wystawiony dla twej mamy.

Celem uregulowania nakładu prosimy Szan. Czytelników o jak najrychlejsze nadsyłanie przedpłaty na kwartał przyszły do Administracyi „Tygodnika Narodowego“ w Krakowie, ul. Wiślna 2. — Prenumerata wynosi rocznie 9 kor., półrocznie 4 kor. 80 hal., kwartalnie 2 kor. 40 hal. Abonament do Francyi, Ameryki, Król. Polskiego i Rosyi tylko półrocznie 8 koron, rocznie 16 koron.

Redaktor odpowiedzialny Marjan Hupczyc w Krakowie.